№ 34. Warszawa, dnia 13 (25) Sierpnia 1883 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

LITERATURA CZESKA.

Napisał

Wiktor Czajewski.

(Dokończenie.)

Wreszcie w tych studyach ludowych mnóstwo jest podań osnutych na tle natury, zwłaszcza wtedy, kiedy jej żywioły są w rozszalałym stanie lub przeciwnie w samym zarodku.

Pomiędzy innemi znajdują się i wcale dowcipne, które już sam tytuł wyjaśni, jak np. „Dlaczego człowiek zaraz po urodzeniu nie chodzi?" i t. p.

Więcej mitologicznego pierwiastku znachodzimy w „Powiastkach przymorskich" (Pohadkach przimorzskych) wydanych przez doktora Sygfryda Kappra (¹), o którym na wstępie powiedzieliśmy, wreszcie człowiekiem dosyć na niwie literackiej zasłużonym. Z tego zbioru wynotujemy tylko jedną opowieść „Talasa" podwodnego olbrzyma i pana podmorskich krain, który niechce wydać swej córki ze swego państwa. Kończy się jednak na tem, że jest do tego zmuszony, gdyż jakaś Nemuczyca udziela jej tajemnicę, którą pobija i zmusza Talasa. Sam Talas jestto albo Hades przemieniony w wodnego olbrzyma, albo też kombinacya podań o Plutonie i Posejdanie. Nemuczyca ma także wiele podobieństwa z Persefoną.

(¹) Dr. S. Kapper urodził się na Smichowie w 1821 roku. Został doktorem medycyny, zmarł w 1879 r. w Pise.

Kończąc te uwagi, muszę jeszcze powiedzieć słów parę o gorliwym i sumiennym badaczu poezyi ludowej, panu Prymusie Sobotce, obecnie redaktorze pisma illustrowanego „Svetozoru". Jego rozpoczęte studya pod tytułem „Rostlinictvo, a jeho vyznam v narodnich pismech, poviestech, bajech, obrzadech a povierach slovanskych" (¹), które objęły już tom jeden i wyszły w „Novoczeskej bibliotece" wydawanej nakładem muzeum królestwa czeskiego, przedstawiają świetny przyczynek do sławiańskiej symboliki. Autor w tomie pierwszym jak widzimy z tytułu, objął w swem dziele tylko świat roślinny, który porównawczo traktuje, posiłkując się poezyą ludową sąsiednich plemion słowiańskich.

Całą tę swoją pracę dzieli on na dwie części. Pierwsza z nich jest wynikiem długoletnich badań i obejmuje kilkanaście poszczególnych części, w których traktuje on o roślinności i jej wpływie, z ważniejszych artykułów wplecionych tu są: „Roślinność a poezya", „Wpływ świata roślinnego na rozwój myśli ludzkiej", „Święte gaje u słowian", „Związek życia roślinnego z życiem ludzkiem", „Drzewa i kwiaty na grobach", „Ludzie zamieniający się w rośliny", „Leśne i polne bogi i boginie", „Wróżby z roślin", „Leczenie za pomocą rośliny", „Puszczanie kwiatów i wianków na wodę" i t. d. Cały ten szereg artykułów przekonywa nas najlepiej, jak autor sumiennie traktuje ten przedmiot i jakie liczne zebrał materyały, aby stworzyć tę mozolną pracę.

W drugiej zaś części zebrał on wszechsłowiańską ludową poezyę i podania, które porównywa z sobą, wykazując zarazem, jaki wpływ i jakie znaczenie ma każde z osobna drzewo, krzaczek lub kwiatek w śpiewach ludowych.

(¹) Roślinność i wiara w nią, która zawarta jest w ludowych pieśniach, powiastkach i klechdach, obrzędach i obyczajach słowiańskich a wydana w 1879 roku.

Wreszcie aż zanadto są rozpowszechnione te własności lecznicze, które lud wielu roślinom przypisuje, aby tu o nich obszerniej omawiać. Wiadomo przecież, że lubczyk, maruna, chmiel i inne tym podobne rośliny nietylko w pieśni, ale i w zastosowaniu wiejskich lekarek, mają ogromne znaczenie.

Takież same podania lecznicze, lub mityczne przywiązały się do większych i silniejszych drzew. Z kolei więc autor przechodzi dąb, lipę i inne drzewa i kwiaty, opowiadając o nich różne anegdoty. Z polskich zbiorów posiłkuje się on pracami Wóycickiego i Kolberga, oraz cytuje wiele wierszy z etnograficznych studyi zamieszczanych w „Tygodniku illustrowanym"! Jako podstawę, a raczej do obrobienia symbolicznego tych roślin zaczerpnął wzór z książki byłego profesora literatury niemieckiej, wszechnicy Jagielońskiej F. Th. Bratanka „Beitrage zu einer aesthetik der pflanzenwelt". Wogóle praca ta sumienna, ze wszech miar zasługuje na uznanie, gdyż jest pełną trafnych, a zwięzłych sądów.

Autor włożył też tam długoletnią pracę, systematyczność i ubarwił ją pięknemi poetycznemi obrazami.

Aby uzupełnić całość, muszę dodać, że w 1853 roku już w Czechach pokuszano się o takie studya. W „Nowoczeskiej bibliotece" (tom XIV) wydaną została praca Ludwika Sztura, rzecz bezporównania mniejszej wartości, odpowiednio jednak do czasu i ilości materyału podówczas zebranego, dosyć starannie opracowana.

Porównywa tam autor pieśni czeskie, morawskie, rusińskie, polskie i serbskie (str. 41). Do szczególnych jednak rezultatów nie dochodzi.

Do tychże studyów możemy zaliczyć „Czteni o poczacich diein vzdelannosti a literatury narodův slovenskych” (Czytanie o początkach historyi cywilizacyi i literatury narodów słowiańskich). Dzieło Franciszka Władysława Czelakowskiego, wydane powtórnie w 1877 roku, chociaż dziś już nie wytrzymujące wymagań krytyki.

Wogóle z tego cośmy powiedzieli o literaturze ludowej możemy przyjść do wniosku, że jak każdy inny lud, również i Czesi są ludem dosyć poetycznym, zabobonnym i fantazyjnym. Wszystko musi znaleźć tu swoją oddzielną poetyczną lub mistyczną szatę, odziać się nią, a dopiero w ustach ludu ma pewne znaczenie i wywiera na niego wpływ znaczny, to jest też główne tło literatury ludowej czeskiej.

Zręczny autor, lub poeta ludowy, aby prace jego trafiły do głębi przekonań najniżej ukształconego wieśniaka, powinien pracom swoim nadawać właśnie taki charakter, a umiejętną budową i zręcznym piórem powoli wyprowadzać czytelnika z tego labiryntu błędnych przekonań.

Omówienie więc nasze o dawnej literaturze ludowej, dlatego postawiliśmy na wstępie, aby tem jaśniej wykazać przeszłość i wykształcenie oraz pojęcia dawniejszego wieśniaka, które stopniowo rozwijały się na korzyść samowiedzy, chociaż nie pozbył się on tych zabobonów i guseł do reszty. Ogrzewa on je swoją tętnącą piersią, one żyją, a od czasu do czasu powtarzane, muszą pozostawić pewien ślad, który się do nowszych pokoleń a z niemi i do literatury przedziera.

Sama zaś przeszłość przedstawia mu się przy tych skrzydłach fantazyi o wiele prościej i sympatyczniej i niezawodnie pociąga za sobą, jeszcze wtedy, kiedy same fakta nie potrafiłyby zwrócić na siebie uwagi.

Wreszcie co się tyczy pokrewieństwa z innemi literaturami, to już wykazaliśmy, że wiele ich pieśni mają jedną i tąż samą baśń co i pieśni ludowe polskie, sam zaś charakter pieśni ludowych bardzo zbliżony jest z naszym. Po większej części jak w pieśniach tak i w powieściach przebija jakaś smutna nuta, lub co więcej treść ich opisuje smutne wypadki i rzadko zdarza się tu ów wesoły i skoczny akord krakowiaka.

Szczególniej w podaniach o walkach husyckich, mieści się tej goryczy wiele, chociaż z drugiej strony błąkają się butne i dziarskie nawet rewolucyjne pieśni.

Nie będę tu odszukiwał powodów dlaczego tak się rozwinęły te butne pieśni, bo aż nadto jest on widoczny. Wieśniak słowianin, był długo, bardzo długo upośledzonym, po części niewolnikiem swego pana, lub sługą kościoła. Nic więc dziwnego, że w łonie swoim nie przechował on bohaterskich powieści, a tylko te o których mówiłem już wyżej, opiewające jakieś dawne, ze szczęśliwszych dni myty słowiańskie, lub wreszcie później religijne podania o świętym Wacławie i Janie z Nepomuk (Pomuk)...

W każdym razie jeżeli lud czeski nie zniemczał, jeżeli dziś z niego wyszedł cały naród, to przyczyn tego dobra, po dwustu latach pod jarzmem „Kulturtregerów”, można tylko szukać w demokratycznych zasadach Tomasza ze Szczytny, w religijno narodowych usiłowaniach Hussa i w społeczno miejscowych reformach Heronima z Pragi, króla Wacława IV i przewódzców husyckich na których czele stał Żyszko i król Jerzy z Podiebrata. Dużo też potem przyczyniły się usiłowania braci czeskich, którzy swemi szkołami i nauką podtrzymywali i utrwalili język czeski, podnosząc go do tego stopnia, że już wydartym być nie mógł. Burze więc i zamieszania, które wywołał husytyzm dały czeskiemu społeczeństwu silne podwaliny, na których wzrosł zupełnie nowy odrębnie kształtujący się naród.

Kto jest wrogiem?

Nieprzyjaciel, to nie ten, co w szerszej arenie
Z podniesioną przyłbicą do walki nas wzywa:
To nie ten, co nam życie wydziera, lub mienie,
Nie ten, co nam niewoli narzuca ogniwa:

To ten, którego walka szlachetna przestrasza,
Który pełza w ciemności i kąsa jak żmija;
Albo nas pocałunkiem zwabiwszy Judasza,
Rani tchnieniem zatrutem, a słowem zabija.

To ten, co w ufność naszą wkradłszy się nieznacznie
Udaną życzliwością, pochlebstwem lub blagą,
Czeka, aż mu swe serce otworzym niebacznie:

A wtedy, biorąc rozbrat z fałszywą powagą,
Powoli cierń za cierniem w duszę wbijać zacznie,
Za łzy płacąc szyderstwem, za uśmiech... zniewagą!

Emilia.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Pani Smirska nie lubiła nic na długo odkładać. Nie wdając się też w długie, jak powiadała, ceregiele, zapewniona z ust własnych Walentyny, że Zbigniewa znajduje teraz daleko lepiej jak dawniej, i dostrzega w nim zmianę niezmiernie korzystną, napomknęła o przeznaczeniu kobiety wyjścia zamąż i że pora też już dla niej nadeszła.

— Ah! stryjenciu—zawołała ze śmiechem Walentyna — jam o tem jeszcze nawet nie pomyślała.

— To bardzo dobrze — odrzekła p. Smirska— rzecz to opiekunów oznaczać chwilę postanowienia ich wychowańców. Otóż co do ciebie, nadeszła już pora spełnienia tego, czego pragnęłabym dokonać jeszcze za mego życia, a czasu na to niewiele mi pozostaje.

— Stryjenciu — odrzekła Walentyna, z uczuciem składając ręce — odsuń te ponure myśli bo serce moje zaraz przejmuje taka boleść, że łzy gwałtem cisną się do oczu.

— Powinnaś się z niemi oswajać — odrzekła p. Smirska z powagą, jaka ją nigdy nie opuszczała. — Jest to rzecz nieunikniona, prawo natury, któremu co żyje ulega. Ale mówmy o twojem przyszłem małżeństwie.

— Tak stryjenciu — przerwała Walentyna — mówmy o niem, to rzecz zabawniejsza, tylko trochę trudna do spełnienia.

— Niekoniecznie moje dziecko.

— A mnie się zdaje, że to nigdy nastąpić nie może.

— To ci się źle zdaje, kto cię bliżej pozna to ukochać musi.

— Czy doprawdy?—zapytała Walentyna z naiwnym radości uśmiechem.

— Najniezawodniej — odrzekła p. Smirska — a nawet znam już takiego co sercem jego zawładnęłaś.

— Ja? — z największem podziwem zapytała Walentyna.

— Tak jest, ty, moje dziecka, czyż cię to dziwi?

— I bardzo, bo nawet domyśléć się nie mogę ktoby to był taki?

Pani Smirska wpatrzyła się w oczy Walentyny, jaśniejące prawdą, i po chwili zapytała:

— A gdyby to był Zbigniew?

— Zbigniew! — zawołała Walentyna niemal z przerażeniem zrywając się z krzesełka — ale to niepodobieństwo.

— Niepodobieństwa w tem nie widzę żadnego. Widuje cię codziennie, długie godziny spędza w twojem towarzystwie, poznaje coraz lepiej twoje poczciwe serduszko i zdolną główkę, cóżby więc było dziwnego, gdyby cię ukochał?

— Ależ on taki wybredny... taki wielbiciel piękna... tak wymagający a ja tak mało rozszcząca prawa... stryjenciu to być nie może, to zdaje ci się tylko...

Walentyna wymówiła to z wielkiem wzruszeniem, coś jakby z tłumionym płaczem, którego łkanie pozór śmiechu przybierało. Pani Smirska na ten tylko pozór zwróciła uwagę, wzięła to za dobry znak, za radość dziewczęcia, której utaić nie umiała. Odrzekła więc z przyjaznym wyrazem twarzy, z jakim zwykle udzielamy miłą dla kogoś wiadomość:

— Nie, moje dziecko, nie zdaje mi się, Zbigniew wyznał mi to otwarcie i poprosił o twoją rękę.

— O moją rękę? Ja, żoną Zbigniewa? — zawołała Walentyna bledną i rękę kładąc na sercu.— I cóżeś mu stryjenciu na to odpowiedziała?

— Że to się zgadza nietylko z moją wolą, ale jest najgorętszem mojem życzeniem.

— Ah! mój Boże, mój Boże! — odrzekła Walentyna — z twojem życzeniem...

— Tak jest moje dziecko, z mojem najgorętszem życzeniem. Jest to związek dla ciebie jedynie najstosowniejszy i jedynie zapewnić ci mogący szczęście prawdziwe.

— Moja stryjeneczko, jam taka przy tobie szczęśliwa, tak mi dobrze, tak niczego nie pragnę i pocóż mam moje szczęście dzisiejsze zamieniać na inne nieznane mi zupełnie?

Gdy to mówiła, głos jej drżał, oczy zdawały się tonąć w osadzie. Pani Smirska spostrzegła to:

— Oj! ty dziecino, dziecino — odrzekła po chwili—przecićć na panieństwie nie możesz się zestarzyć.

— A cóżby to było złego, gdybym zupełnie nie wyszła zamąż?

— Czyż ci się Zbigniew nie podoba?

— Nie wiem stryjeneczko... nie zastanawiałam się nad tem... lubię go bo jakżebym tego z którym się prawie wychowałam...

— To go pokochasz z pewnością — przerwała p. Smirska — przyjaźń zawsze miłość poprzedza.

— Pokocham? — powtórzyła Walentyna, jakby sama sobie zadawała pytanie i zaraz dodała z ciężkiem westchnieniem: — ah! jakżebym tego pragnęła aby twojej woli zadość się stało.

— Czyżby to było tak trudnem dla ciebie?

— Nie wiem, ale czuję, że się lękam, trwożę... coś mnie niepokoi... oczy mi się łzawią, serce ściska. Sama nie wiem co to jest, ale powiedz mi stryjenciu czy i ty tak uczułaś to jak ja, gdy ci powiedziano, że masz wyjść zamąż?

— W innych znajdowałam się warunkach — odrzekła p. Smirska — byłam od ciebie znacznie starszą, chłodniej wszystko rozważałam, ale ten niepokój twój bardzo naturalny, jako w panience tak młodej, którą sam wyraz *żona* już onieśmiela i rumieniec na twarz wywołuje. Wszakże do Zbigniewa nie masz wstrętu?

Walentyna nic nie odrzekła, zdawała się szukać odpowiedzi na zrobione pytanie.

— No, odpowiedz Walentynko — odezwała się p. Smirska, spoglądając na zadumane dziewczę — wszakże wstrętu do Zbigniewa nie masz?

— Nie mam — cicho odrzekła Walentyna — on taki dobry dla mnie, wyrozumiały...

— Tak, tak i takim będzie zawsze, takim zawsze pozostanie. Wiadomość ta niezmiernie go uszczęśliwi, był tak niepewny życzliwości twej dla siebie, teraz wątpliwość usunęłaś wszelką. Gdy ci się oświadczy...

— Oh! stryjenciu — przerwała Walentyna, składając ręce błagalnie — tylko nie teraz, niech się z tą myślą oswoję, niech urzeczywistnienia jej przestanę się obawiać...

— Obawiać? Ależ to egzaltacya posunięta aż do śmieszności a nic okropniejszego jak narażanie się na nią. Chroń się tego moje dziecko, śmieszność to broń zabójcza.

Walentyna ze wstydu i wzruszenia zarumieniła się, serce jej silniej zabiło a p. Smirska mówiła dalej:

— Powiedziałam ci już, moje dziecko, że przed tobą czasu wiele, przede mną już nie lat ale dni bardzo mało pozostaje, nie dziw się więc, że radabym, aby was małżeństwo jak najprędzej połączyło, choćby dziś jeszcze. Pragnę tego, a ty mnie kochasz Walentynko...

— O! kocham, bardzo kocham, jesteś matką dla mnie biednej sieroty...

— Czyż więc matka może ci źle radzić? Któż może być troskliwszym o twoje dobro, któż życzliwszym dla ciebie ode mnie?

— To prawda... ale sama siebie nie pojmuję... mąci mi się w głowie... jakaś w niej burza zrywa się, jakby ją rozsadzić chciała. Moja stryjeneczko, ty taka dobra, taka rozumna, wytłomacz mi co to jest takiego?

— Co to jest takiego? — powtórzyła p. Smirska.

— Tak stryjeneczko, jestem jakby na bezdrożu z którego nie wyjdę bez twojej pomocy.

Pani Smirska zamyśliła się, spojrzała na dziewicę klęczącą przy jej nogach z rękami opartemi na kolanach, z oczami niby z modlitwą wpatrzonemi w nią i po chwili odrzekła:

— Także egzaltacya...

— Oh! mój Boże! — zawołała Walentyna — to być może.

— Tak jest, moje dziecko i że jeszcze Zbigniewa nie pokochałaś...

— O! tak — przerwała Walentyna pośpiesznie z widoczną radością, że opiekunka tak stan jej serca dobrze odgadnęła.

— Nie dowodzi to jednak, abyś go pokochać nie miała, skoro go kochasz jak brata...

— To prawda, a jednak...

— Nie przerywaj mi dziecino i słuchaj uważnie co ci powiem. Uleganie pierwszem wrażeniom zmysłów naszych właściwe jest zwyczajnym tłumom, spełniającym wolę Bożą ustanawiającą na świecie małżeństwo. Jest to tylko prosty instynkt natury bez celów wyższych, których pojąć jeszcze nie są zdolni. Im jednak człowiek wyżej się wznosi w hierarchii społecznej, tym więcej instynkt ten czysto zwierzęcy porzuca, a kieruje się w zawarciu małżeństwa wyborem odpowiednim do wyrobionego w nim pojęcia tych celów szlachetniejszych godnych prawdziwego człowieka. Ty moje dziecko należysz do rodu od wieków wyrosłego nad tłum pospolity...

— Oh! stryjenciu ja tego nie czuję w sobie, jam taka prosta dziewczyna — przerwała Walentyna z zakłopotaniem.

— Nasze matki, babki i prababki — mówiła dalej p. Smirska nie zwracając uwagi na słowa wychowanicy — zawsze pod wpływem tych celów wyższych zawierały związki małżeńskie, kojarzone wyłącznie wolą ich naturalnych opiekunów, opartą na rozsądku i doświadczeniu. Stadła tak zawiązane cieszyły się nigdy niezamąconem szczęściem, panny stawały się wzorowemi żonami, dobremi matkami i zacnemi matronami, których działalność zapisaną została na kartach dziejów naszego narodu. Później dopiero, gdy zwyczaj ten poszedł trochę w zaniedbanie, powszechne szczęście małżeństw zachwiało się, zaczęły się szerzyć skandale, rozwody... od czego pragnąc cię uchronić, wybrałam ci sama przyszłego małżonka...

Walentyna drgnęła, chciała coś przemówić, ale jej siły do wydobycia głosu zabrakło. Przyłożyła tylko rękę do czoła drugą do piersi, jakby chciała wyrwać boleść, którą w nich uczuła. Pani Smirska zdawała się tego nie spostrzegać i mówiła dalej:

— Prababki nasze w uszanowaniu woli starszych tak były powolne, że nigdy sprzeciwiać się jej nie odważyły, nawet w takich razach gdy uległość ta pod wpływem śmiesznej egzaltacyi zdawała się krępować ich zachcianki. Zawód też je nigdy nie spotykał i szczęśliwe w pożyciu błogosławiły tych co się do tego przyczynili. Jam tak wyszła zamąż, jak również moja matka i twoja, i ich także matki i babki, rody też nasze słynęły zawsze godnością, szlachetnością, najlżejsza skaza zacności ich nie zbrudziła a dni ich żywota płynęły błogo przyświecając drugim pięknym przykładem. Iść ich torem to każdej panienki zacnego rodu głównym jest obowiązkiem, od spełnienia którego nic jej nie uwalnia a zachęcać powinien wzgląd na dobro ogólne całego narodu.

— Dobro narodu? — powtórzyła Walentyna.

— Tak jest moje dziecko...

— Wytłomacz mi to moja stryjeneczko, ja tak pragnę jego szczęścia, poświęcających się dla jego dobra jak Rejtan, Kościuszko, Poniatowski, Staszic i tylu innych tak uwielbiam tak bardzo cenię, że już uważam ich nie za bohaterów, ale prawie za błogosławionych.

— W czemże więc ja tak mała nic nie znacząca istota mogę ich naśladować?

— Moje dziecko — odrzekła p. Smirska — każdy na stanowisku w jakiem go Bóg pomieścił może to zrobić. Stare szlachetne rody to narodu przewodnicy, powinny więc baczyć na swe przeznaczenie, nie zniżać się do niego nietrafnością zawieranych związków, ale podnosić coraz wyżej i wyżej, zarówno stosunkami jak i majątkiem. Gdyby tu wypadło zrobić poświęcenie z własnych nawet skłonności, wahania nie powinno być ani chwili. Nasza królowa Jadwiga przyjęła rękę potwornie przedstawianego Jagiełłę a odrzuciła ukochanego przez siebie Wilhelma, bo tego żądała wola starszych narodu. Szczęście dwóch ludów bratnich było tego następstwem, a chociaż stanowisko twoje nie jest tak wydatne, w mniejszym przecie zakresie równie ważne i wymagające. Niech każdy robi, jak mówi nasz Jan z Czarnolasu, co każe duch Boży a całość się złoży. Rody znakomite to dusza narodu jego serce, rozum, wola, słowem cała jego istota moralna, ale pod warunkiem, że te o świetności swej i warunkach, które ją podtrzymują, nigdy nie zapomną. A teraz możesz odejść moje dziecko bo mam zajęcie, rozważ dobrze com ci powiedziała.

Walentyna zanadto była młodą, zanadto mało ufającą sobie, aby dowodzenia stryjenki mogła rozważnie osądzić. Znając brak w sobie urody, o małżeństwie jeszcze nie pomyślała, wszelkie wzruszenia serca obce jej były najzupełniej i zastępowało ją ocknienie się myśli do zdobyczy naukowych jakby instynktowo przeczuwającej, że upięknieniem duszy wynagrodzi niedostatki swej powierzchowności. Stanowiła więc zupełne przeciwieństwo ze Zbigniewem. On uwielbiał piękność formy, ona treści, on pracował niejako oczami, ona duchem, zachwycając się wszystkiem co go podnosiło i bogaciło, zdobyczą tego czego nie znała.

Rozumowanie też opiekunki zrobiło na niej wielkie wrażenie, a dowiedziawszy się z niego dopiero o obowiązkach znakomitych rodów o sposobach kojarzenia z nich małżeństw nawet z poświęceniem własnych skłonności dla dobra ojczystej ziemi, uznała się niejako powołaną do tej ofiary zwłaszcza, że ufność w rozumie p. Smirskiej miała nieograniczoną.

Zbigniew zawiadomiony o przeprowadzonej rozmowie, przyjął to z zimną obojętnością i podziękowawszy ciotce z wszelką ceremonialną etykietą za zajęcie przyszłem jego postanowieniem, oświadczył gotowość spełnienia jej woli.

— Kuzynka Walentyna — rzekł dyplomatycznie — posiada wszelkie warunki zapewnienia mi szczęścia w przyszłości. Bliższe poznanie odkryło mi w niej nieznane przedtem przymioty. Pierwsze niekorzystne wrażenie zatarło się zupełnie w pamięci i dziś w niej widzę dziewicę, której wybór wolę kochanej ciotki zupełnie usprawiedliwia.

Ułożony więc związek małżeński przez panią Smirską już był prawie dokonany. Działała tu zupełnie z dobrą wolą, z przekonaniem jak najzupełniejszem o trafności swego postanowienia i cieszyła się, iż trudności rzecz z mozołem pewnym potrafiła usunąć. O przyszłem zaś szczęściu małżonków nie powątpiewała, rachowała na wyszumienie się Zbigniewa i ustatkowanie burzliwej młodości z szałów prawdę życia przyciemniających, i na niewinność, prostotę serca Walentyny których utrzymanie w niepokalanej czystości była pewna. W tym celu na wybryki Zbigniewa, choć o nich dobrze wiedziała, przymrużała oczy, a Walentynę starała się otaczać towarzystwem z samych poważnych osób złożoną, aby jéj napróżno główki nie bałamuciły. Zbigniew też szalał a Walentyna zmuszała się wejść na błędną drogę wskazaną jéj przez opie-

kunkę, posłuszeństwa i poświęcenia. Po rozmowie też zwróciła większą uwagę na Zbigniewa, starała się go poznać lepiéj, wybadać, wyrozumieć, nawet podobać, nie przez jakąś skłonność ale wprost przez niedowierzanie sobie a ufność w rozum stryjenki, ufność i posłuszeństwo przynależne tak doświadczonej osobie za jaką p. Smirską uważała. Mimo tego czuła, że już nie w przywiązaniu ale w przyzwyczajeniu do Zbigniewa nie robiła żadnych postępów, że towarzystwo z nim jest dla niej utrudzające, męczące, że choć o nim myślała często ale jakoś nie tak jak spodziewała się i domyślała, nie z tęsknotą i pragnieniem ujrzenia go, ale przeciwnie z pewnym niepokojem przykrość jej robiącym.

Rozstając się z nim czuła ulgę, jakby uwalniała się z ciężaru nieznośnie ją tłoczącego i cieszyła się że wraca do swego pokoiku w którym jest tak szczęśliwą i swobodną.

Stan Zbigniewa pod tym względem także nie był godnym zazdrości. Na twarzy jego odbijał się wysiłek, nudota i znużenie, męczył się ale brnął dalej a oczy jego przybrały niezwykły wyraz, walki sumienia z koniecznością.

Zbigniew wreszcie po długim przygotowaniu, oświadczył się, zimno, bez zapału, którego nawet udać nie umiał. Walentyna z równym chłodem przyjęła to i zaledwie wyjąkała iż wolę ciotki chętnie wypełni. Potem oboje udali się do p. Smirskiej, uklękli, ta ich pobłogosławiła, uściskała, ucałowała i z pewnem wzruszeniem oświadczyła, iż się zajmie przygotowaniem wyprawy i przyśpieszeniem ślubu.

Walentyna przy końcu tego ceremonialnego aktu, rozpłakała się i rozchorowała na serce, pani Smirska włożyła to na karb egzaltacyi, wstydliwości dziewiczej i przejmującej ją radości, a gdy ją uspakajano, ciotka rzekła do siostrzeńca:

— Będziesz miał skarb prawdziwy i cieszę się niewymownie, że się w twoje ręce dostanie.

Zbigniew nic nie odrzekł, tylko ukłonił się z poszanowaniem i wyszedł z gabinetu ciotki, aby pocieszyć się, ochłonąć w towarzystwie nadobnej Zosieńki, której nic nie powiedział o tem co się w domu stało.

Wieczorem już p. Justyna przez Marcina pragnącego w roli zaufanego sprzymierzeńca w dalszych swych zamiarach utrzymać się, o scenie zaręczyn została jak najdokładniej zawiadomioną. Z krzykiem i przekleństwem na magnatów i arystokratów, opowiedziała wszystko Zosi, która wieścią tą zupełnie nieprzewidywaną, rażona jak gromem, padła na ziemię omdlona. Otrzeźwiono ją, osłabioną ułożono w łóżko, rozwinęła się gorączka, majaczenie a w słowach bez związku wymawianych ciągle brzmiało imię Zbigniewa i groźba śmierci gdyby go straciła.

Pani Justyna przerażona przywołała doktora, o mało sama się nie rozchorowała i z owiązaną głową po całonocnej bezsenności, uspokojona cokolwiek zapewnieniem, że stan chorej nie przedstawia niebezpieczeństwa, zasiadła na drugi dzień przy bufecie, złość swą i zmartwienie dając uczuć całej służbie a nawet mężowi i dzieciom. Zbigniew tego dnia był zajęty, zebraniem na obiad u ciotki bliższych krewnych zaproszonych umyślnie dla uczczenia dnia zaręczyn jej wychowańców. Przyjęcie było sute, powinszowań bez liku, toastów na pomyślność narzeczonych dosyć, mimo tego w całem towarzystwie panował pewien chłód, sztywność, brak ożywienia i swobodnej rozmowy. Patrząc na siedzących przy sobie przyszłych państwa młodych, dziwiono się, że na twarzach ich nie przebijał się wyraz tajonej radości, względami przyzwoitości, że przeciwnie, Zbigniew często brwi marszczył, jeżeli uśmiechał się to z jakimś niemiłym dziwacznym gestem, a Walentyna była blada, jakaś roztargniona, pognębiona, co jej wcale wdzięku nie przysporzało. Gdy zgromadzenie po skończonym obiedzie przeszło do salonów rzęsisto oświetlonych, robiono cichym szeptem różne domysły i przypuszczenia.

— Walentyna — rzekła jedna z pań do swej przyjaciółki — wygląda nie jak narzeczona ożywiona szczęściem które ją spotyka, ale jak ofiara skazana na całopalenie indyjskich wdów obyczajem.

— W rzeczy samej — odrzekła zagadnięta — patrząc na nich zdaje mi się, że to nie przyszłe małżeństwo, ale męczeństwo w którem oboje straszą się przewidywaniem tortur jakie ich czekają.

— Złośliwą jesteś w dowcipnem swem porównaniu — odrzekła z uśmiechem pierwsza pani zasłaniając usta wachlarzem. — W każdym jednak razie, rzecz to arcy ciekawa, co spowodowało p. Smirską do skojarzenia małżeństwa przynajmniej z pozoru tak bardzo niedobranego? On młody, nawet ładny mężczyzna, pod każdym względem tak dobrze się przedstawiający, mógłby świetną zrobić karyerę, ona i uboga i brzydka a przytem z linii macierzystej, obciążona tytułem książęcym, którego utrzymanie w blasku właściwym grubo kosztuje, a pomocy żadnej do tego nie daje.

— Zapewne, że to zagadka — odrzekła towarzyszka. — Najprędzej stało się to przez pamięć dla nieboszczyka Smirskiego, którego całe mienie przeszło na własność wdowy po nim pozostałej.

— Pobudka bardzo szlachetna zaszczyt jej przynosząca, idzie tylko o to, czy pani Smirska w wypłacie tego obowiązku nie omyliła się, czy obojgu szczęście zapewni jak tego pragnie bez wątpienia.

— Bądź spokojną, przy majątku jaki dostaną znajdą się i sposoby słodzić sobie wspólne pożycie, gdyby się do niego gorycz piołunu zakradła.

— Jesteś uosobieniem złośliwych postrzeżeń i domysłów — odrzekła towarzyszka, znowu uśmiech na twarzy zakrywając wachlarzem.

Wreszcie przyjęcie skończyło się, towarzystwo rozjechało się, młodzi odetchnęli. Zbigniew pojechał na miasto szukać rozrywki w gronie młodzieży u jednego z nich na wieczór zebranej, a Walentyna przeszła do swego pokoju i długo chodząc po nim zastanawiała się nad swem położeniem. Zarzut egzaltacyi szczególniej ją niepokoił, lękała się narazić na śmieszność, była chmurną i cierpiącą, a jeżeli czasem mroczne zasłony choć na chwilę uchylały się i odsłaniały prawdę, myśli ztąd powstające, wątpliwości, przypuszczenia, uważała za bunt egzaltacyi i gwałtem starała się rugować je z siebie.

Na drugi dzień, Zbigniew udał się do Bardzkich, ale mu powiedziano, że przyjąć go nie mogą, bo mają zmartwienie w domu, chorobę Zosi. Zaszedł więc do kawiarni, sam Bardzki przewidując groźne przyjęcie a może awanturę, wymknął się z domu a Justyna zobaczywszy wchodzącego Zbigniewa, podniosła się na siedzeniu, ścisnęła klucze trzymane w ręku jakby na nich chciała zaostrzyć paznokcie do drapania i wydrapania choćby oczów. Zbigniew od strony gości usiadł przy bufecie, pani Justyna odwróciła się do niego w połowie plecami.

— Cóż to jest pannie Zofii? powiedziano mi, że zachorowała? — zapytał Zbigniew.

— A tak, zachorowała — odrzekła Justyna, zaledwie mogąc nad sobą panować — a pan zapewne przyszedł zaprosić ją na swój ślub z panną Walentyną.

Zbigniew nie przypuścił nawet, aby wieść o zaręczynach już doszła wiadomości Bardzkich. Zdziwił się ale nie tracąc fantazyi, odezwał się z pewną niecierpliwością:

— Ja się pytam o symptomata choroby panny Zofii...

— O to mi troskliwość rozczulająca! — przerwała p. Justyna poprawiając się na krzesełku tak zamaszyście, że aż wszystkie szklanki na bufecie zabrzęczały. — Zosia o mało życiem nie opłaciła wiadomości o twej niegodziwości mój panie, a tu się mnie pyta o symptomaty.

— Ależ kochana pani...

— Precz mi z mego domu! — wrzasnęła Justyna — idź sobie pan do takich jak sam niegodziwców i urządzaj zasadzki na podobne sobie furfantki ale nie na moje dziecko. Wara od niego mój panie, wara, wara...

Zbigniew choć miał ochotę rozłoszczoną kobietę przez okno na ulicę wyrzucić, ale lękał się skandalu i nic nie odrzekłszy szybko wybiegł z kawiarni.

Nie należał on jednak do ludzi zrażających się trudnościami w spełnieniu zamiaru raz powziętego. Owszem przeciwnie w miarę przeszkód, rozpalał się jak tygrys, gdy krew świeżą poczuje. Tu nęciło go wszystko, o przychylności Zosi nie wątpił, nie dał więc za wygranę i powiedział sobie, muszę ją mieć i mieć będę, choćby mur przyszło głową rozbić i zmiażdżyć smoków co ją pilnują.

Wszystko to cośmy tu opowiedzieli o sprawach Zbigniewa działo się w czasie nieobecności Józia, pomiędzy jego wyjazdem zagranicę a powrotem za kilka tygodni spodziewanym. Zbigniew na dworcu kolei pierwszy raz zwrócił uwagę na Marynię i kazał dowiedzieć się o jej mieszkaniu. Twarz jej pełna swobody i wesołości spodobała mu się bardzo, w kilka dni był już w sklepiku, nie zastał jej, ponowił bytność swą raz drugi i trzeci i póty zachodził i kręcił się w różnych dnia porach, aż wreszcie dopatrzył samą Marynię w sklepie i szturm do niej obcesowo przypuścił.

Wprędce jednak poznał, że to dziewczynka, którą takie postępowanie zrazić tylko może a nie przynęcić, że najmniejsze lekceważenie jej godności, oburza ją i ze wzgardą milczącą bywa odpychane. Powstrzymał się też natychmiast w swej awanturniczej napaści, stał się uważniejszym, grzeczniejszym, ale oczów z niej nie spuszczał i wyszedłszy uznał: że Mańka nie jest idealną pięknością, za wiele ma w sobie natury a za mało ogładzenia, ale zawsze jest dziewczęką z jaką nie często spotkać się można.

Od tego też czasu głównie zwrócił do niej zabiegi. I nie było w tem nic dziwnego.

Myśl ludzka musi pracować duchem albo się podać namiętnościom. Gdy nic jej nie drażni próżniactwo w senność wiedzie, lub do kału.

Zachodził więc do sklepiku o ile czas mu pozwolił, przedstawił się jako właściciel dwóch wiosek będących rzeczywiście jego własnością, ale już nie pod własnem, tylko Smirskich nazwiskiem.

Składał także przy każdych prawie odwiedzinach różne wiejskie przysmaczki, zwierzynę, ryby, owoce, a tak grzecznie umiał prosić o łaskawe ich przyjęcie, że odmowa była niepodobna. Przytem w odwiedzinach tych oczy nie próżnowały, umiały przemawiać nie głośno wprawdzie, ale tak wyraźnie, że sama matka p. Czemecka uznała że Zbigniew zakochał się w Maryni.

Dzieweczka skromna, poczciwa, wychowana niemal razem z Józiem pod główną opieką Stanisława Strońskiego, miała się jednak na baczeniu, nie dowierzała, niepokoiła się, dzieliła w części przypuszczenia matki, ale czuła jakby tajemny głos radzący ostrożność.

Nie gardząc nim, postępowała odpowiednio, wynurzań Zbigniewa słuchała chętnie, nie poddawała się im jednak zbytecznie otaczając się dziewiczą skromnością wzbudzającą zawsze poszanowanie.

Wszystko to drażniło Zbigniewa, niecierpliwiło, gniewało, miał nawet zamiar porzucić wszystko ale porażki znosić nie umiał.

Tu jednak spotkała go haniebna przegrana. O właściwem jego nazwisku dowiedziano się i rozstano się prawie z pogardą. Marynia przy tej odprawie nie była przytomną, ale tak znienawidziła Zbigniewa tak się bała z nim spotkania, że gdy wieczorem sama była w sklepie, za najmniejszem poruszeniem drzwi zwiastującem przybycie kogoś obcego, serce jej silniej uderzało z obawy czy czasem Zbigniew się nie pojawi. I byłoby to z pewnością nastąpiło.

W kilka dni później Zbigniew poznał Zosię Bardzką, Marynia więc mogła być spokojną.

(D. c. n.)

Jarosław Vrchlicki.

Przekład z czeskiego.

VOX POPULI.

Lwy we zwierzyńcu milczały dzień cały;
W koło gwar tłumów, wozy turkotały.
Dzień mijał zwolna, sklepy zamykano,
Słońce wspaniale stało nad Sekwaną,
Zachodząc w płaszczu purpurowym dumy.
Wtem Wiktor Hugo przechodził przez tłumy;
A gdy okrążał zwierzyniec skwapliwie,
Lew jeden wielki jął ryczeć straszliwie,
Jak niegdyś witał na puszczy wschód słońca,
Dziecko porwała z trwogą matka drżąca,
Strach padł na tłumy, drgnęli wszyscy wkoło.
„Co mu się stało?” spytał ktoś. Wesoło
Odrzekł robotnik, stojący u ściany:
„Pana zadziwia ten ryk niespodziany?
On nie po swojej pustyni zawodzi —
On czuł, że jemu pokrewny przechodzi!”

Miriam.

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

(Dalszy ciąg.)

— Burzliwy będzie to teraźniejszy sejm konwokacyjny, — mówił Żurawski — burzliwszy od wszystkich innych poprzedzających, bo pan Poznański wraz ze Zborowskimi, nie pomny na dobro ojczyzny da folgę prywacie.

— Ha! jak sobie pościelą, tak się i wyśpią, — rzekł Klonowicz -- lecz żeby to tylko oni sami z tej pościeli korzystali, ale gdzie tam my mieszczanie, kraj cały za tę pościel zapłacimy i na naszej to skórze wszystko się odbije!

— A czyż to Górszczanie i Zborowszczanie stanowią naród cały? — zapytał Lichański, poprawiając pasa. — E! kanclerz ma większość za sobą i czapkami ich zarzucą!

— Prawda! lecz mimo tego krew popłynąć może, — mówił Klonowicz — boć przecież nie bez kozery pan Poznański wysłał przodem do Warszawy zbrojne roty swoje, które pod Janowcem przeprawiwszy się przez Wisłę połączyć się miały z hufcami Zborowskich.

— I cóż z tego? — zawołał Lichański — nie sądzę i nie myślę, aby z orężem w ręku chcieli współobywateli zmuszać do głosowania za niemi, byłoby to iście pogwałcenie praw wolności szlacheckiej. A niepodobna również, aby tak pan Poznański jak i Zborowscy z ręką na sercu zaprzeczyli, że zbawiennym in bonum publicum influencyom pana kanclerza, zawdzięcza kraj cały wszystko to co za panowania w Bogu spoczywającego króla jego mości się stało!

— Ej! mówisz waszmość jakbyś to ich nie znał, — rzekł Żurawski — i zapominasz, że w mętnej wodzie najłatwiej łowić ryby! Zborowscy wprowadziwszy na tron ś. p. króla Batorego sądzili, że oni nim i całym krajem rządzić będą, lecz pomylili się w swoich rachubach. Kto inny korzystał z owoców ich posiewu, król Stefan, daj mu Boże niebo, poznał się rychło na swoich protektorach, i wolał sam panować niż tron dzielić z całym tłumem Zborowianów. Dziś, nauczeni doświadczeniem najprzód za jakąkolwiek bądź cenę starać się będą o usunięcie groźnego przeciwnika jakiego mają w kanclerzu, a potem roznamiętnionym tłumom podstawią do okrzyknięcia królem tego co im zapewni współudział w rządach i dadzą nam króla co będzie malowaną lalką w ich rękach!

— Nie ulega wątpliwości, że pan kanclerz, — mówił Klonowicz — na coś podobnego się nie zgodzi. Niepochopny on do płochych prywat i respektów, lecz dba o pożytek publiczny i takowy mając na myśli, stawi się ostro a dufam, że nie bez skutku.

— Zapewne, zapewne, — rzekł Lichański — i dlatego też nie zgodzi się na ich kandydata, którego gwałtem chcą na tronie osadzić. Nie dla nas Rakużanin, mamy swoich, za którémi przemawia przeszłość, wspaniałość rodu! Już dosyć mieliśmy podobnej próby, obierając królem Henryka!

— Ale też następca jego, nie zawiódł nadziei w nim pokładanych. W królu Stefanie potęga i sława narodu odżyła i blasku utraconego na nowo nabrała! — zawołał Żurawski.

— No! prawda! lecz czy przyszły elekt to co poprzednik jego uczynił podtrzymać zdoła i czy nim zasiądzie na tronie kraj nie będzie pogrążony w przepaść? Wobec tego com widział i słyszał, — mówił dalej Klonowicz — boję się aby tak nie było. Widzieliście przecie, co się tu działo czasu minionego sejmiku, a cóż to dopiero dziać się będzie na polu elekcyi!?

— Ej! mości Sebastyanie, — rzekł Żurawski — miejmy w Bogu nadzieję, że tak źle nie będzie i że pan kanclerz nie da się zjeść w kaszy Zborowszczanom!

— Daj to Boże, — szepnął Lichański spoglądając z zamyśleniem w płonący ogień na kominku.

Klonowicz i Żurawski również zamilkli, pogrążając się w zadumę i w komnatce zapanowało głuche milczenie, przerywane tylko głośnym i dźwięcznym ruchem wahadła, dużego gdańskiego zegara, znajdującego się tuż naprzeciw kominka.

Milczenie te trwające już chwil parę, przerwało przybycie Żędziana, który zruciwszy z siebie szubę w izbie poprzedniej, wszedł niepostrzeżony do komnatki.

— Niech będzie pochwalony!—rzekł przybyły— a cóż to waszmoście staliście się mnichami i rozmyślacie nad znikomościami tego świata, że tak głuche między wami panuje milczenie?

— Na wieki wieków! — odparł Żurawski pierwszy podnosząc się z siedzenia na powitanie przybyłego. — A cóż to waszmość panie Jakóbie tak późno przybywacie? Sporo już czasu spędziliśmy tu na pogawędce, a nawet i parę już wysuszyliśmy kubków pocieszyciela dusz strapionych!

— Ha no! cóż robić, — odparł Żędzian witając się z obecnymi. — Sprawy domowe niepozwoliły mi wcześniej stawić się u was! I byłbym może dziś wcale tu nie przyszedł, gdyby nie potrzeba.

— A, a! cóż tam takiego, że z potrzeby tylko przybyliście do mnie? — zapytał Żurawski sadząc gościa koło kominka.

— At! kłopoty domowe, jak zwykle tam gdzie jest podwika, — odparł Żędzian usiadłszy.

— No? cóż tam, czyżby jakie nieszczęście? czy może też swaty zawitali do was? — pytał Klonowicz — a czas byłoby już, dzieweczka co się zowie i pobożna, gospodarna, liczko piękne...

— Ej! swaty jak swaty. Gdyby to jeszcze, było by to pół biedy, — mówił Żędzian — lecz inna tu jest circumstancya, w której radbym zasięgnąć waszej rady co robić?

— Ha, no! to mówcie waszmość, — rzekł dotąd milczący i w ogień zapatrzony Lichański.

— Rady, ba nawet i pomocy wszelkiej chętnie udzielamy, — dodał Klonowicz — boć przecie ręka rękę myje...

— Praesentibus consulere, futuris providere, obowiązkiem jest każdego człowieka, — rzekł Żurawski—a dziełem to cnoty, aby przezornym dowcipem wzajemna konfidencya między współobywatelami była utrwalana i nigdy szwanku nie doznawała. Otóż więc mów waszmość czem ci służyć możemy, a wierzaj że służby nasze powolne z serca wam zalecamy.

— Pewny jestem tego, — odparł Żędzian, serdecznie ściskając podaną dłoń Żurawskiego — i dla tejże przyczyny przyszedłem do was, aby wam zwierzyć się z tem co mnie uciska. Otóż więc wiecie dobrze, boć to nie tajno, iż od dawna już, bo jeszcze za życia ś. p. starego księcia Słuckiego, gdym z Krakowa powrócił i na stałe tu się

osiedlił poznaliśmy się i polubili z dzisiejszym księciem Janem. Zaszczytna ta przyjaźń do dziś trwa i książę za każdą bytnością swą w naszym grodzie, nieomieszkuje mnie chudego pachołka nawiedzać, a nawet i nieraz rad moich, jako doświadczeńszego może w sprawach publicznych zasięga. Jak podotąd szło wszystko dobrze, aż oto dopiero teraz spostrzegłem, że księciu Janowi dziewka moja wpadła w oko, a niedosyć tego widzę, że i ona nie jest mu krzywa, gdy tymczasem chęcią moją było, połączyć ją węzłem małżeńskim z bardzo zacnym młodzianem, który ku niej niezmiernym płonie affektem, i który życiem i czynami swemi daje rękojmię, że była by z nim szczęśliwą a ja o jej przyszłość spokojny.

— A któż jest owym młodzianem? — zapytał Lichański.

— Michał Powała, dworzanin księcia Jana, — odparł Żędzian — syn zacnych w Bogu już spoczywających rodziców, ojciec którego jako mieszczanin tutejszy, z własnej ochoty podążył na wyprawę moskiewską ze zmarłym ś. p. królem i pod Pskowem ciężko ranny, przez króla klejnotem szlacheckim ozdobiony życie na ojczyznę położył.

— Znam go, — rzekł Klonowicz — zacny to młodzieniec a i nie bez fortuny.

— Otóż więc o nim to myślałem, że nazwę go zięciem moim, — mówił dalej Żędzian — tymczasem życzenia moje wątpię, aby spełnić się mogły. Książę Jan, coraz częściej zaczyna bywać pod moim dachem, widzę i patrzę na to jak Małgosia lgnie do niego, a przecież niepodobna, aby chciał ją poślubić uczciwie. Boć to przecie mieszczanka tylko a on kniaź z prastarego rodu, senatorowicz, książęta jego kolligatami i cóżby ona córka mieszczanina między niemi robiła? Smutno i gorzko życie jej płynęłoby a łzy rosiłyby jej liczko, nakoniec książę sam z czasem uznał by, że niestosowne dla siebie zawarł małżeństwo i wtedy w domu było by gotowe piekło, zgorszenie i obraza Boga! Radźcie więc co tu czynić, co robić? Wiem że książę nie jest płochym rozpustnikiem, lecz ze względu na dobro dziecka mego, na stanowisko księcia, czyż mogę pozwolić na to co się dzieje?

— A no! zapewne że nie, — rzekł Klonowicz— boć uczciwość sama temu się oponuje.

— Nie widzę ja w tem nic złego, — zawołał Lichański — kiedy tak dostojny pan, umiłowawszy dziewkę, choć nierówną sobie urodzeniem, pragnie uczciwie pojąć ją za małżonkę. A czyż to mało przykładów podobnych? Wszakże i ś. p. król Zygmunt August ożenił się z nierówną sobie rodem. Dlaczegóżby i książę Jan Słucki nie mógł się ożenić z córką waszmościną?

— Zapewne, ród zacny, prawy i starodawny,— mówił Żurawski. — Jak zapamiętają mury tego grodu, tak też istnieli tu i Żędzianie, jednak sądzę, że lepiejby było, aby swój ze swoim się łączył. Wiemy co się działo, gdy Zygmunt August poślubił Barbarę, ona marnie zginęła, a on!?

— Tak, tak! słusznie mówicie mości pisarzu, — rzekł Żędzian — i ja tak samo twierdzę, lecz co robić, co robić?

— Hum! a cóż, jeżeli książę dotąd wam nic nie mówił o swoich zamiarach i afektach, — mówił dalej Żurawski — to i wam nie wypada zaczepiać go o to. Jednak, aby powstrzymać księcia w strzelistych jego zapędach, to radziłbym wam córkę pomieścić tymczasem w klasztorze. Wszak przewielebna ksienia Helżbieta [1] nic przeciw temu mieć nie będzie, a wielebna matka Elżbieta, ciotka jegomości Sebastyanowej chętnie przyjmie ją pod swą opiekę do czasu w którym dziewka wasza nie nabierze innych przekonań i nie odda swej ręki Powale.

— Zmuszać jej do tego nie chcę! — zawołał Żędzian — lecz także niechcę sprowadzić jakiego nieszczęścia na dom mój.

— Otóż właśnie, — rzekł Żurawski — daję waszmości rade, wedle której sam bym postąpił.

— I dobra to rada, — dorzucił Klonowicz — wszak wiecie, że i moją oddałem pod opiekę wielebnych matek aczkolwiek z innych powodów, lecz nie mogę rzec inaczej jak tylko to, że tak ja, jako też i dziewka moja, jesteśmy z tego zadowolnieni.

— Cóż waszmość na to, mości Stanisławie? — zapytał Żędzian, zwracając się do milczącego Lichańskiego.

— A no! cóż mogę ja tu mówić, — odparł zagadnięty — mimo, że nie widzę w tem nic złego, że książę Jan do waszej córki się zaleca, byle tylko z uczciwością i honorem. Jednak w części przyznaję panu Mikołajowi słuszność i radę wam mości Jakóbie udzieloną aprobóję, ale...

— A i cóż tam macie przeciw temu co radzę?— zapytał Żurawski.

— Otóż właśnie, widzisz waszmość, — mówił dalej Lichański — wiadomą jest rzeczą, że owoc zakazany najlepiej smakuje i że tu w tym razie książę Jan będzie niewątpliwie owym owocem. Amor jest ślepy tak jak i fortuna, jedno i drugie nie wybiera, a choćbyś waszmość zamknął swą dziewkę w dziesięciu klasztorach, jeżeli taka jest wola Boża, aby była żoną księcia, to nic na to nie poradzisz! Mojem zdaniem postąpiłbym inaczej, i nietaiłbym się z tem co wiem, lecz z przynależnym respektem zapytałbym się otwarcie księcia Jana co zamyśla czynić i w jakich zamiarach dziewkę bałamuci? Wszak waszmość ojcem, a jako taki macie przez Boga zlecone prawo czuwania nad dziecięciem swojem.

— Ha! nie ma co, zrobię tak jak mi waszmoście radzicie, — odrzekł Żędzian, a zwracając się do Klonowicza dodał: — was zaś mości Sebastyanie obliguję, abyście wstawili się do waszej ciotki wielebnej Elżbiety, aby córkę moją chciała przyjąć pod swą opiekę. U przewielebnej ksieni sam będę i poproszę o przytułek dla Małgosi, a teraz, — dodał Żędzian wstając z siedzenia — Bóg zapłać za dobrą radę i Bogu was polecam. Lżej mi teraz na sercu i łacniej z tym kłopotem się uporam wiedząc, że w was mam szczerych przyjaciół.

Rzekłszy to, Żędzian pomimo nalegań gospodarza, oddalił się spiesząc do domu, gdzie spodziewał się zastać księcia Jana.

Noc zapadająca pogrążyła już ulice w ciemności, które nie mogły nawet rozjaśnić tu i owdzie w oknach błyskające światełka, ani też przed ratuszem przez pachołków miejskich noc całą utrzymywane ognisko. Żędzian wyszedłszy z kamienicy zamieszkiwanej przez Żurawkiego, brnąc w zaspach śnieżnych, które na ulicach się nagromadziły, dążył ku domowi po pod kamienice Cybanów, Grzebieniów, doktora Valentinusa i Wiśliczków. [1]

Dochodząc do bramy Rybnej, doleciał go cichy szept dwóch męzkich głosów, na który jednak nie byłby wcale zwrócił uwagi, gdyby nie to, że zasłyszał swe nazwisko. Żędzian jakby dziwnym jakimś przeczuciem tknięty, zatrzymał się tuż u węgła bramy, a że głosy rozmawiających się zbliżały, wsunął się więc po pod ścianą w głąb' bramy i tuląc się do muru stanął w cieniu za skarpem pilastru bramowego. Ledwo że tego dopełnił, gdy z głębi uliczki Rybnej a od domu w którym wojewoda Poznański mieszkał podczas pobytu w Lublinie, wynurzyło się dwóch mężczyzn wielce zajętych rozmową prowadzoną półgłosem. Mężczyzna idący cokolwiek przodem wzrostu miernego, krępy i barczysty, odziany był w dostatnią szubę, a duża uszata czapka okrywała mu nietylko głowę, lecz nadto zasłaniała prawie twarz całą. Postępujący obok niego chudy i cokolwiek na przód pochylony, miał na sobie długą opończę podbitą kunami i dużą czapkę obszytą lisami.

— A więc jutro pamiętaj żydzie, — mówił półgłosem idący przodem, a był to nie kto inny tylko Grzegorz Brzózka, kolebka czekać będzie o oznaczonej godzinie za bramą Krakowską, tylko spraw się tak, aby dziewka nie wrzeszczała i aby rzecz cała pozostała tajemnicą jak kamień w wodę!

— Nu! albo to ja nie wiem, — odparł pokornie za Brzózką postępujący Ela. — Już ja dobrałem sobie takie ludzie, co będą milczéć jak ryby. — Żędzian ani się spostrzeże kiedy już jego córkie będzie wielka pani! Albo to co złego jej się stanie? Nu, będzie sobie jak królowa siedzić na zamku i będzie...

— No no! co będzie robić, to będzie robić, a tobie nic do tego, to już rzecz tego który ci płaci,— przerwał Brzózka przechodząc tuż obok z przerażenia oniemiałego Żędziana — lecz pamiętaj sobie, żeby włos jeden nie spadł z jej głowy, bo inaczej to twoja głowa z karku zleci. Droga niedaleka, przed świtaniem powinniście z nią być na miejscu. Ja będę was czekał, a od jego dostojności sowitą otrzymasz nagrodę!

Wyrzekłszy to Brzózka szybko oddalił się ku bramie Krakowskiej, pozostawiając Elę, który szwargocząc powlókł się w dół ulicy Grodzkiej, ażeby przed zamknięciem bramy miejskiej dostać się na Podzamcze, gdzie w nędznej chacie z liczną rodziną mieszkał.

Żędzian był tak przerażony tem co słyszał, że dopiero w chwil parę po oddaleniu się żyda i Brzózki, których z powodu ciemności, panującej nie poznał, dopadłszy swego domu, wbiegł bez tchu prawie do mieszkania.

W obszernej izbie do której wszedł Żędzian żywy płonął ogień na kominku, obok którego zajęci rozmową, siedzieli książę Jan, Małgosia i jej ciotka Regina Felkelowa.

— Miłościwy książę, — zawołał Żędzian blady i drżący, zrzuciwszy z siebie u progu izby szubę i czapkę pokrytą grubą warstwą śniegu — miłościwy książę, jeżeli wasza łaska mam z wami słów parę pomówić. Rzecz niecierpiąca zwłoki, służę więc i proszę zejdźcie do mego alkierza!

(D. c. n.)

---

[1] R. 1587 ksienią pp. Brygidek w Lublinie była Helżbieta Skowiaska, zmarła r. 1589.

[1] Kamienice te są dziś oznaczone numerami polic. 24, 25, 26 i 2.

PISOWNIA POLSKA

I KWESTYA JEJ REFORMY,

przez

L. Szczerbowicza-Wieczora.

(Dalszy ciąg.)

Wszelako dążność burzycielska i obalanie tradycyjnej powagi podobały się, widocznie z zasady, innym spółwyznawcom tegoż obozu, którzy tak dalece o poprawność i czystość języka nie dbali nigdy, jak tego dowodzą ich prace, przepełnione błędami gramatycznemi. Dwa więc pisma „postępowe" „Niwa" i „Przegląd Tygodniowy" przyjęły niezwłocznie i zaprowadziły u siebie zmiany, przez p. Kryńskiego proponowane, w też tropy podążył i „Opiekun Domowy", tak że p. Kryński dostąpił tego zadowolenia, iż przez cały, jeśli się nie mylę, rok 1873, wymienione trzy pisma trzymały się jego pisowni. Ale niedługo trwał wieniec sławy p. Kryńskiego, gdyż już w roku następnym nawet owe trzy pisma zarzuciły nowinki i wróciły do dawnej pisowni. Et tu Brute? Dodać tu jeszcze muszę, że wkrótce upadł „Opiekun" i zbankrutowała „Niwa", jako zbiór wypracowań studenckich z dążnością pseudo-pozytywną, pismo to bowiem przerodziło się zupełnie i wszechstronnie, tak że dziś ten dwutygodnik ma już tylko nazwę wspólną z „Niwą" lat 1872 — 1874.

Takie były dzieje pierwszej kampanii reformatorskiej p. Kryńskiego na polu ortografii polskiej. Po upadku jego nowinek, nie słychać było o nich lat z dziesięć, aż oto wypłynęły znowu na wierzch w „Memoryale" tegoż p. Kryńskiego, drukowane początkowo w „Bibliotece Warszawskiej" (sierpień 1882 r.), a potem w osobnej odbitce i przesłanym, za poparciem i inicyatywą redakcyi „Biblioteki Warszawskiej", do zatwierdzenia Akademii Umiejętności w Krakowie.

Pan Kryński, widocznie, sprawy nie zasypiał i udało mu się, w szczupłem gronie przyjaciół i protektorów, wnieść, z pretensyą do narzucenia ogółowi, nietylko dawniej odparte i pogrzebane *ym*, ale wiele innych zmian rdzennych, które zupełnie prawie zmieniają postać dotychczasowej pisowni polskiej. Sprawę po cichu *en petit comité* załatwiono, a p. Kryńskiemu tak było pilno do laurów reformatora, że nie czekając decyzyi Akademii, gdzie może także spodziewa się znaleźć kolegów i protektorów osobistych, już w samym memoryale zastosował swoją nową, narzuconą ogółowi i przyszłym pokoleniom, a częstokroć dziwaczną pisownię.

Nie chcę zbyt szczegółowo wyłuszczać zakulisowych stosunków literackich, ale u nas, niestety, bardzo wiele zależy od tych prywatnych pobudek: przyjaźń i protekcya znaczą więcej niż prawdziwa zasługa i uzdolnienie. Mniej zwraca się uwagi na zalety produkcyi literackich, a więcej na ich autorów, dzieje się tak przy doborze artykułów, przyjmowaniu i umieszczaniu przychylnych albo potępiających recenzyi... Otóż, zwracając uwagę na skład komitetu, mającego zaprowadzić zmiany w pisowni, a wyszczególnionego w przedmowie do Memoryału p. Kryńskiego, musimy zadziwić się nad szczupłą ilością i niejednakową, a wogóle mierną kompetencyą owego areopagu. Oprócz bowiem kilku członków redakcyi „Biblioteki Warszawskiej" i samego pana Kryńskiego, znajduję tam wymienionych trzynaście nazwisk, pomiędzy którémi, z redakcyi innych pism warszawskich, figuruje tylko p. Chmielowski redaktor „Ateneum" i p. Babiński, redaktor „Przeglądu pedagogicznego", którego zasługi naukowe i badania na polu języka polskiego nie są nam znane. Jak na prasę warszawską, z kilkudziesięciu pism złożoną, to za mało. Następnie figurują tu pp. Baraniecki i Dickstein — z zawodu specyaliści i matematycy, którzy bez wątpienia po polsku pisać umieją, ale do rozstrzygania ważnych kwestyi gramatycznych i ortograficznych również są uzdolnieni, co piszący te słowa np. w materyi rachunku różniczkowego i wyższej matematyki. Pozostaje jeszcze dziewięć nazwisk a są to wszystko nauczyciele języka polskiego, w rozmaitych zakładach naukowych warszawskich. Czy dawanie lekcyi języka polskiego dzieciom — profesya, której jak wiadomo, oddaje się wiele osób płci obojej i rozmaitego wieku — upoważnia do zabierania głosu w sprawach językowych pierwszorzędnej wagi — roztrząsanie tego pytania wydaje mi się nawet zbytecznem. Gdyby to jeszcze chodziło jedynie o wykład języka polskiego w szkołach i to tylko w szkołach warszawskich, a postawienie kwestyi ortograficznych w takiem jednostronnem oderwaniu nie jest nawet możliwem — to rozumielibyśmy skład komitetu wyłącznie z nauczycieli wymienionego przedmiotu w szkółkach i szkołach Warszawy. Wymienieni tam np. pp. Szumowski i Włoszek ani w nauce lingwistyki, ani nawet na polu dziennikarskiem zupełnie są nieznani, a jedyne nazwisko, mające więcej powagi to p. Bądzkiewicz, o którego stanowisku wobec nowatorskich zamachów p. Kryńskiego w r. 1873 wspomniałem powyżej, nie był obecny na decydującem posiedzeniu komitetu, jak opiewa Memoryał na str. II. Ostatecznie więc wszystko każe przypuszczać, że członkowie owego komitetu zostali dobrani stronniczo, jako kółko przyjacielskie, bynajmniej zaś nie w interesie pożytku języka i literatury. To też, gdy w tejże przedmowie Memoryału czytamy, jako p. Kryński *„zwycięzko* odparł zarzuty" i obecni uznali *„gruntowność* jego wywodów" (wyrażenia trochę dziwne o sobie, gdyż nic nie objaśnia, żeby przedmowę do Memoryału pisał kto inny, nie sam pan Kr.), to mamy wszelkie prawo przypuszczać, że laury zwycięzkie dostały się panu K. łatwo i że sami jego przeciwnicy przybyli już na pole walki z pragnieniem dać się zwyciężyć. W przeciwnym razie, wypadałoby także ogłosić drukiem całą dyskusyą i same zarzuty i „zwycięzkie" ich odparcie, wtedy czytelnicy i zwykli śmiertelni, którym ogłoszono dopiero wyrok areopagu, mieliby zasadę do przypuszczenia, że istotnie była tam jakaś dyskusya, że istotnie członkowie komitetu zebrali się nie dla czczej formy, dla pochwalenia z góry postawionego, ale że byli tam tacy, którzy umieli i chcieli przeprowadzić dyskusyą naukową. Nie widząc zaś nic takiego, a czytając wnioski pana Kr., podawane po większej części w formie dowolnych osobistych decyzyi, znajdując następnie, że pan Kr. wciąż powołuje się tylko na *swoje własne* dwie broszurki (Kwestya Językowa i Rozbiór gramatyki A. Małeckiego) i prace Baudouina de Cortenay, przychodzimy do przekonania, że cały projekt jest dowolnym, a zarozumiałym wytworem p. Kryńskiego, a co najwyżej duumwiratu, „Kryński i Baudouin de Courtenay". Co do tego ostatniego nazwiska, muszę wreszcie dodać uwagę, że p. Baudouin de Courtenay już dla tego samego nie może odegrywać roli reformatora pisowni polskiej, że do piśmiennictwa naszego nie należy wcale, wyparłszy się publicznie i Warszawy i Szkoły Głównej, gdzie się kształcił i piśmiennictwa polskiego. Stało się to zaś, jak niejeden z czytelników sobie przypomni, w roku 1874 czy 1875, o co było nawet w prasie warszawskiej z owego czasu nieco polemiki i wrzawy.

Przechodzę teraz do krótkiego przeglądu treści „Memoryału" p. Kryńskiego.

(D. c. n.)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** „Gazeta Polska" wydawana w Chicago donosi, że w mieście tem jest blizko 70,000 Polaków, a najwięcej z Prus i Niemiec. Są tam Poznańczycy, Szlązacy i Kaszubi, Galicyanie i Rusini, Małopolanie, Litwini i Żmujdzini, a wszyscy mówią tylko po polsku. Kościołów polskich jest trzy, cztery szkoły, kilkanaście towarzystw, dwie drukarnie, księgarnia, kilkaset polskich sklepów korzennych, kilka składów z meblami i sprzętami domowemi, kilka fabryk ram i obrazów, kilka składów towarów łokciowych, kilkadziesiąt pracowni krawieckich i składów ubiorów, kilku polskich zegarmistrzów i składów z rozmaitościami. Kilkuset Polaków są posiadaczami kamienic, a niemal jeden na dwudziestu posiada jakąś własność, niektórzy dorobili się majątków przenoszących 50,000 dolarów. Polacy mieszkają na dwóch końcach miasta, mniejsza część na stronie południowo zachodniej, większa na północno zachodniej. Ze wszystkich miast Ameryki najwięcej ludności polskiej liczy Chicago, a wogóle w Stanach Zjednoczonych zamieszku 750,000 Polaków.

*** W pewnej wsi pod Kamieńcem podolskim mieszka młody wieśniak obdarzony prawdziwie artystycznym talentem muzykalnym. Będąc jeszcze dzieckiem z wielkiem zamiłowaniem przysłuchiwał się muzyce i niewysłowionej doznał radości, gdy dziadek zrobił mu proste skrzypce z kilku deseczek, z nicianemi strunami. Przygrywał sobie na nich pasąc bydło, i często rozmarzony zapominał o trzodzie. Gdy podrósł, wiejski nauczyciel nauczył go początków gry skrzypcowej i wkrótce młody wieśniak doszedł do zadziwiających rezultatów. Dość mu było raz usłyszeć jakąś trudną sztukę odegraną na fortepianie, aby powtórzyć ją na skrzypcach z odpowiednią swej wiedzy dokładnością. Słuchając go można mniemać, że to gra skończonego skrzypka, gra z nadzwyczajnem przejęciem, cały zatopiony w swej muzyce, a na zapytanie o czem marzy wtedy, odpowiada: „Kiedy gram, cała dusza moja przechodzi w skrzypce." Przy odpowiedniej nauce, młody ten samouczek mógłby zostać pierwszorzędnym artystą — niestety! ma suchoty!...

*** Nie podajemy strasznych szczegółów nieszczęścia jakie dotknęło wyspę Ischiję, gdyż opisane były przez wszystkie dzienniki. Niestety! coraz dowodniej przekonywają się, że grozę nieszczęścia zwiększyło opóźnienie odpowiedniego ratunku i ohydni zbrodniarze dobijający zagrzebane ofiary, aby zedrzeć z nich ubiór i kosztowności. Według doniesień i Neapolowi grozi niebezpieczeństwo, gdyż Wezuwiusz wybucha coraz silniej i wstrząśnienia ponawiają się w okolicy obserwatoryum. Uczeni przeciwni są zamiarowi rządu

włoskiego co do pobudowania drewnianych domów dla ludności Ischii i są zdania, aby uroczą tę wyspę pozostawić niezamieszkaną. Takie jest także zdanie sławnego de Rossi, specyalnie zajmującego się badaniem wulkanów, który sprzecznie z opinią prof. Palmieri'ego, oświadczył publicznie, że katastrofę ischijską uważa za wynik gwałtownego trzęsienia ziemi, a nie zaś za obniżenie się poziomu wyspy. Za twierdzeniem tem zdają się przemawiać liczne zjawiska dostrzeżone przed katastrofą, jak np. nagłe podniesienie się ciepłoty term., zniknięcie lub zmącenie niektórych źródeł, a wreszcie obecne stosunki telluryczne, które zdaniem Rossi'ego nieprędko będą normalne. Uczony ten nie zapowiedział tego lecz uważa za rzecz możliwą, iż siły przyrody zmierzają do wytworzenia tu sobie nowego ujścia, nowego wulkanu. Góra Epomes, jak wiadomo wygasły wulkan, zdaniem jego teraz nie będzie już spokojną; szczyt jej rozpada się i usuwa w coraz groźniejszy sposób i zagraża najpierw miejscowości Lacco Ameno. Prywatne telegramy donoszą, iż z położonej na północ od Cassamicciolì Monte Cino, wydobywają się ciągle słupy czarnego dymu. Na Ischii daje się uczuwać brak wody, gdyż wszystkie prawie studnie zostały zasypane lub też woda z nich znikła.

*** Wyspa Madagaskar na oceanie Atlantyckim o posiadanie której Francya nie pierwszą stacza walkę, jest jedną z największych na kuli ziemskiej. Od stałego lądu wschodnio-afrykańskiego oddziela ją kanał Mozambicki, ma 228 mil długości, 50 szerokości i przeszło 10,000 mil kw. przestrzeni. Mieszkańcy główni nazywają się Madagassami albo Malgaszami, tych liczy 4 miliony, oprócz nich są jeszcze Kafrowie, Arabowie i Malajczykowie, zamieszkują po większej części w wioskach warownych. Co do religii, oddają cześć najwyższej istocie, dobrej, zwanej *Jankar* i złej, zwanej *Agutir* albo *Beliche*, pierwsza według ich wierzenia zamieszkuje na słońcu, świątyń bóstwom swoim nie wznoszą, tylko składają daniny. Starożytni już znali Madagaskar jako wielką wyspę leżącą na południo-wschód Etyopii. W r. 1506 odkryli ją na nowo Portugalczycy i od imienia Wawrzyńca Almeida, nazwali wyspą *Św. Wawrzyńca.* Później wyspa ta nosiła jeszcze nazwę *Delfina* albo *Księżycowej*, aż następnie przywrócono jej krajową nazwę Madagaskar. W roku 1642 sławny Rychelieu rozkazał zająć tę wyspę na rzecz Francyi. Tak zwane *Societé de l'Orient* otrzymało przywilej osiedlania się na Madagaskarze i zakładania tam kolonii, lecz dyrektorowie towarzystwa tak źle obchodzili się z krajowcami, że oburzeni postanowili pozbyć się cudzoziemców i to wywołało trzy rzezie, pierwszą w 1632 roku, drugą w 1653 r. w nowo zbudowanej fortecy Delfia w kościele, gdzie Francuzi zebrali się dla słuchania Mszy św. i nareszcie trzecią w 1754 roku na wyspie Św. Maryi. W latach 1768 i 1774 Francuzi znów usiłowali się tam osiedlić, ale daremnie, utrzymali się zaledwie w twierdzy Delfina, w Tamatawie i Foulepoint, które w lutym 1811 roku zostały zniszczone przez Anglików. Wyprawą w 1774 r. Francuzom dowodził Beniowski. W marcu 1818 r. rozpoczęto znowu kolonizacyę i zajęto Sainte Marie i Tiutingur, w r. 1819 Mansiotę i fort Delfina, ale tylko przy kolonii St. Marie Francuzi się utrzymali. W r. 1841 wpływ francuzki rozciągał się na wielką część wschodniego wybrzeża Madagaskaru, a na mocy traktatu z królową Tsumeka pozyskali wyspy Nossi Be i Nossi Kumba, oraz prawa zwierzchnicze nad północno-wschodniemi wybrzeżami wyspy. Nareszcie traktatem zawartym z królem Laymeri, Francuzi stali się posiadaczami wszystkich jego posiadłości, aż do pewnego brzegu rzeki Angrlube i odtąd uważają się za panów wszystkich wybrzeży Madagaskaru. Anglicy wszelkiemi sposobami podkopują wpływ i władzę Francuzów na wyspie, i obecną wojnę o ile się zdaje ich intrygom przypisać należy.

*** Przy poszukiwaniach świątyni Minerwy w Rzymie, w tem samem miejscu gdzie niedawno znaleziono obelisk Ramzesa, odkryto znowu kolumnę z granitu wschodniego, mającą przynajmniej jeden metr średnicy. Prawdopodobnie kolumna ta stanowiła część portyku świątyni Izydy i Serapisa. Rzeźbione u dołu kolumny postacie egipskich kapłanów, doskonale są zachowane, kapłani stoją na ławach, z różnemi religijnemi emblematami w ręku, które stanowią ciekawe studyum dla archeologów. Kolumnę tę przeniesiono na plac Rzymskiego kolegium, gdzie zostanie umieszczoną obok obelisku Ramzesa II.

Municypalność rzymska zabiera się gorliwie do wykonania tak zwanego planu regulacyjnego, mającego uregulować ostatecznie topografię stolicy. Zamierzają przeprowadzić kilka głównych ulic, ciągnących się przez całą niemal długość miasta. Podwojona ludność i ogromny ruch panujący obecnie, nie może się pogodzić z ciasnemi i krętemi uliczkami starego Rzymu i na częste narażają wypadki. Wyjąwszy na Corso i nową część miasta, oraz Ripettę i Babuino, nigdzie prawie nie ma chodników, a ruch powozów, dorożek, omnibusów i tłumy przechodni z każdym dniem się zwiększają. Są uliczki w których dwa powozy nie mogą się zminąć; jeden musi czekać przy wjeździe zanim drugi wydobędzie się z ciasnego zaułka. W innych znów w razie zrównania się dwóch powozów, przechodnie muszą przyciskać się do ścian lub nawet uciekać do bram i sklepów, aby uniknąć rozjechania. Wypadki podobne często się trafiają — koniecznie więc trzeba temu zapobiedz — i w tym celu municypalność uchwaliła 150 milonów pożyczki.

Jakkolwiek postanowiono nie naruszać historycznych pomników wiecznego miasta, kościołów i zabytków starożytnych, jednakże regulacya zmieni jego wygląd. Kto znał Rzym za Piusa IX nie pozna go za lat dziesięć, i dziś już stał się innym. Bez zaprzeczenia zyska na tem wygoda i zdrowotność, ale z krzywdą malowniczości. Znikną owe zaułki i przesmyki streszczające w sobie całe dziejowe okresy, wypadki i przygody uwiekopomnione w kronikach — szkoda starej Romy!

*** Pewne przedsiebierstwo angielskie powzięło zamiar wybudowania kanału spławnego, któryby wychodząc z St. Jean d'Acre nad morzem Środziemnem na dolinę Jordanu i morze Martwe, dochodził do morza Czerwonego.

Obecnie donoszą z Londynu, że zbierają tam obecnie drogą składek summę 10,000 funtów szterlingów dla przedsiewzięcia robót przedwstępnych.

Zawiadomienia.

Pragnąc coraz więcej rozwijać działalność opartą na zdobytem już zaufaniu Prenumeratorek Tygodnika Mód i Powieści, Redakcya ma zaszczyt podać do ogólnej wiadomości, że pod swym nadzorem urządziła pracownię wszelkich **ubrań i strojów damskich** nie wyłączając **bielizny** i oddawszy ją pod główny kierunek osoby należycie uzdolnionej, przyjmuje wszelkie obstalunki tak z materyałów jej powierzonych jak i z własnych, wykonywa je według najświeższych wzorów paryzkich, poręczając za staranne wykończenie i uczciwy stosunek z interesantkami.

Adres: **Do Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści oraz Przyjaciela Dzieci — Widok Nr 3.**

Polki wyjeżdżające do Paryża, celem wykształcenia się w obranych przez siebie zawodach, mogą znaleźć u jednej z rodzin polskich w tem mieście mieszkanie ze stołem, usługą i prawdziwie rodzicielską opiekę. Bliższą wiadomość o warunkach nader przystępnych, można powziąć w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci Widok Nr 3.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 10 Августа 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Chmielna N. 1530 (20).

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład **J. B.**

(Dalszy ciąg.)

— Czy poznajesz nas, kochany kuzynie? To ja... Krystyna... i panna Rajmunda.

Jan znowu otworzył oczy.

— O! tak... poznaję was obie... i pana Désormes także... rozmawia tam z synem. Teraz przypominam sobie... lasek w którym toczyła się walka... Prusacy... a gdzież mój kuzyn de Chazé.

— Zdrów, jest w Poitiers.

— A Marylka?

— W klasztorze w pobliżu Tours.

— Wszak ja byłem chory... bardzo chory?

— Tak, ale już wracasz do zdrowia, niezadługo przewieziemy cię do Marcilly uzyskaliśmy pozwolenie i od kilku już dni sprowadziliśmy nasze powozy.

— A więc jedźmy.

— Jak tylko zupełnie odzyskasz siły.

— Nastąpi to niebawem... bo jestem bardzo szczęśliwy.

I rzeczywiście bardzo prędko przychodził do siebie; jak tylko więc mógł znieść ruch powozu puszczono się w drogę. Jechali na Châteaudun ,i wybrzeżami Loary — tak dostali się do Lude, zkąd zwrócono się ku Marcilly. Ale podróż zmęczyła bardzo Jana, i gdy dojeżdżali do Lizardière lekki dreszcz przejmować go zaczął. Spostrzegłszy to pan Désormes rzekł do hrabiny.

— Obawiam się dla Jana pobytu w wielkim waszym pałacu; nie ma kaloriferów i trzeba spalić cały dąb chcąc ogrzać pokój. Lepiej daleko będzie jeźli pozostaniesz pani z nim w Lizardiére daleko wygodniej urządzonym. Jak myślisz Rajmundo?

— Doskonała myśl, kochany ojcze, odrzekła zarumieniona.

— I ja jestem tego zdania, powiedział Jan nieco zmieszany.

Widać że cała przeszłość żywo stanęła mu w pamięci, dodał jednak pewnym głosem:

— Zgoda na to, panno Rajmundo, jedźmy do Lizardière.

W godzinę później, Jan zajmował ciepły i wygodny pokój, mówiąc sobie w duchu:

— Czybym pomyślał rok temu, że wejdę do tego domu bez gniewu i niechęci!

I nie tylko wszedł, ale pozostał w nim przeszło sześć tygodni, na stopie miłej, braterskiej zażyłości — ale nie zamienili z Rajmundą ani jednego czulszego słówka. Zresztą zbyt ważnemi zajęci byli sprawami; przygniatały ich nieszczęścia Francyi; wiadomości o oblężeniu Paryża, który bombardowany walczył z głodem straszniejszym od kul nieprzyjacielskich, wieści o rozbiciu armii, o bandach pruskich plondrujących w okolicy. Nawet w dolinie Molny, w której Niemcy nie stali, ukazywały się nagle na zakręcie drogi oddziały ich kawaleryi, posuwające się w porządku spokojnie jakby w swoim kraju, oswajających nieposłuszne echa francuzkich wzgórzy, z nienawistnym śpiewem najezdników.

Ilekroć Krystyna, Rajmunda, Jan i pan Désormes spotykali ich na drodze do Lude lub do Chateau-la-Valière, spoglądali na siebie w milczeniu, spuszczali oczy i powracali przygnieceni ponurym smutkiem nie pragnącym pocieszenia.

Najsmutniejszym ze wszystkich był pan Désormes. Ta porażka Francyi, stawała się w jego przekonaniu porażką tegoczesnej cywilizacyi, zniweczeniem jego teoryi i marzeń, zapanowaniem siły nad postępem i przyszłością. A może miał jeszcze jakieś osobiste kłopoty, gdyż od niejakiego czasu odbierał listy które czytając bladł i posmutniał, ale tylko z córką mówił o nich. Pewnego dnia, widząc ją niespokojną, Jan zapytał nieśmiało:

— Co tobie, panno Rajmundo, zdajesz mi się smutniejsza niż zwykle?

— Rzeczywiście, ale to tylko ze względu na ojca, bo co do mnie, tem lepiej.

Nic nie powiedziała więcej; Jan uszanował jej milczenie, ale łamał sobie głowę nad wytłomaczeniem tych słów tajemniczych.

Pewnego dnia, Jan odebrał list, który przeczytał głośno w obec Krystyny, pana Désormes i Rajmundy.

Pan Jonathan Müller, z Ameryki donosił mu że akcye fabryki broni w których umieścił fundusze Jana, podniosły się pięć razy nad cenę nabycia, skutkiem zamówień z Francyi.

— Jestto majątek wcale niespodziewany i zasmuca mnie jego źródło, rzekł Jan z boleścią.

— Z jakiegoż powodu? odpowiedział pan Désormes; pieniądze pana pożyteczne były Francyi, zatem źródło majątku twego jest czyste i dobre. Nie smuć się więc tem szczęściem prywatnem, które jest może nagrodą innych nieszczęść.

Nareszcie Bóg ulitował się nad Francyą; wielka i dumna choć zwyciężona, złożyła okup za swe winy i dawną chwałę — pokój został podpisany.

Gdy ochotnicy i mobile zostali rozpuszczeni, stary nasz przyjaciel hrabia de Chazé, przybył pewnego poranku do Lizardière, aby zabrać do Marcilly Krystynę i Jana, który zupełnie już wrócił do zdrowia.

Gdy już mieli wyjeżdżać, Rajmunda prosiła aby przeszli do wielkiego salonu, i tam zbliżyła się do Jana, mówiąc w obec ojca, brata, hrabiego i Krystyny:

— Ojciec mój nie wie dotąd o tem co zamierzam uczynić, ale pewna jestem, że pochwali moje postanowienie. Nie będąc zupełnie zrujnowanym, znajduje się jednak w kłopotliwem położeniu; jego kuźnie i kopalnie na prowincyi oraz zakłady paryzkie, zostały zrabowane i poniszczone; ma ciężkie wypłaty z których honor nakazuje mu się uiścić, zmuszeni więc jesteśmy zgromadzić wszelkie nasze fundusze. Panie margrabio, trzykrótnie odmówiłam odprzedać mu rodzinne gniazdo twych naddziadów, źle uczyniłam. Bądź wspaniałomyślniejszym dziś gdy jesteś bogatszym ode mnie — niech zamek twój wraca w twoje posiadanie.

— Zgadzam się, panno Rajmundo, ale z warunkiem że pozostaniesz w niem ze mną.

— Najchętniej, jeźli ojciec zezwala, odpowiedziała, a oczy jej zabłysły radością.

— Ma się rozumieć że zezwala! zawołał hrabia de Chazé, silnym i wesołym głosem, jakim zapomniał prawie mówić od czasu wojny. Czyż sądzicie, moje dziatki, że nie zawiadomiłem go o moich i Krystyny projektach? Już od roku należy do naszego spisku, a oni gotowi mniemać, że wiedząc o tem, pozwoliłbym lekceważyć władzę rodzicielską! Oho! za nic w świecie!..

Pan Désormes uścisnął dłonie hrabiego i Jana; Rajmunda rzuciła się w objęcia hrabiny.

— Ach! kochana, dobra Krystyno, tobie zawdzięczam moje szczęście!

— No, tak, może trochę... śliczna Rajmundo; bądź szczęśliwa!

* * *

Upłynęło lat dziesięć. Z wyjątkiem Klodiona który zaledwie chodzi i Pieyrard'a wcale już nie mogącego chodzić, zacni nasi przyjaciele cieszą się zasłużonem szczęściem które zdobyć umieli. Co do pana Désormes, ten jeźli to szczęście — jest senatorem dożywotnim; syn jego, Raul, wybrany został posłem, hrabia de Chazé, zawsze jeszcze przewodniczący polowaniom, jest już wspaniałym, powszechnie szanowanym starcem; Marylka została żoną sąsiedniego obywatela; najzacniejszego i rozumnego, wybranego przez jej przezorną i cnotliwą matkę. Krystyna ma już siwe, białe jak śnieg włosy któremi lubi się chełpić, ale jedyna też to kokieterya jakiej dopuściła się w całem życiu.

Margrabina Rajmunda de Lizardière, ma sześcioro dzieci, dwie córki i czterech synów. W dniu przyjścia na świat ostatniego hrabia de Chazé objął Jana serdecznym uściskiem, i krzyknął głosem bynajmniej nie osłabłym z wiekiem.

— Nie jestem jeszcze zadowolniony! chcę aby jeszcze przynajmniej dwóch przybyło, stara Francya potrzebuje wielu dobrych synów.

KONIEC.

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

— Czy próżniactwo doprowadziło cię już do tego że dla zabicia czasu pozwalasz aby się umizgano do ciebie! Nie powinnoby mnie to dziwić zresztą, nie masz najmniejszego wyobrażenia co to jest być pracowitą i uczciwą gospodynią.

Teodora słuchała tych poniżających wymówek z pełną godności postawą.

— Altman przyszedł aby przynieść coś Fryderykowi, odpowiedziała poważnie.

— Co za brednie! Altman wiedział o tem wybornie, że Fryderyk nie ma dziś czasu na prożne pogadanki. To nie tak jak ty, co masz go zawsze dosyć na głupstwa i na coś gorszego jeszcze, krzyknęła pani Gahlen, i odwróciwszy się od zdumionej i oburzonej synowy, oddaliła się nagle.

Teodora nie zrozumiała dobrze o co ją oskarżano, ale już samo znalezienie się matki męża i dźwięk jej głosu musiały dotknąć ją boleśnie. Uspokoiła się jednak prędko, była zbyt pewną siebie, zbyt czystą aby nie pogardzać tak nikczemnemi podejrzeniami. Niechęć pani Gahlen, stawała się codzień wybitniejszą, przybierała jakiś napastniczy charakter, i Teodora znosiła już jej objawy z tą połączoną z oburzeniem rezygnacyą, z jaką, zwykle znosimy nieuniknioną niesprawiedliwość. Wiedziała zresztą, że dość było wyrzec jedno słówko nie zgadzające się z przekonaniem pani Gahlen, aby ją doprowadzić do ostateczności.

W parę minut później wszedł Fryderyk, i chcąc załagodzić wspomnienie swego uniesienia zapytał łagodnie:

— I cóż moja droga Teo, czy znalazłaś na to sposób abym się ubrał poformie? Jeżeli nie to będę musiał odwołać się do Altman'a. Żałuję że nie pomyślałem o tem prędzej.

— Ale ja pomyślałam, zawołała Teodora, ucieszona tem że mąż nie gniewa się już na nią.

Ubrał się prędko, bo czas było śpieszyć do gimnazyum, a żona nie chcąc go smucić, nie wspomniała mu nic że wczasie jego nieobecności spotkała ją znów tak wielka przykrość. Ale gdy została sama, wszystkie gorzkie myśli, wszystkie tłumione długo smutki odezwały się nagle w jej umyśle i sercu; ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się głośno. Łzy płynące obficie, nie przyniosły ulgi zbyt zbolałej duszy. Siedziała jeszcze rozżalona i zgnębiona przy oknie, gdy spostrzegła Helenę prawie biegnącą przez ulicę. Nie chcąc aby ją widziano płaczącą, otarła prędko twarz zalaną łzami i zaczerwienione oczy; ale Helena wpadła do pokoju jak uragan, i nie patrząc wcale na nią, zarzuciła ręce na jej szyję i wyszeptała przerywanym głosem:

— O! moja droga, kochana Teo; gdybyś wiedziała co ci mam powiedzieć. Jestem tak szczęśliwa! tak szczęśliwa!

Drżała jak listek, a łzy błyszczały w jej pięknych błękitnych oczach.

— Co ci się stało? Heleno, rzekła zaniepokojona Teodora. Jesteś tak wzruszona, jakby cię spotkało coś nadzwyczajnego.

— Teo! droga moja Teo! rzekła ukrywając twarz na ramieniu bratowej, on mnie kocha!

— Henryk Turner, wszak prawda? zawołała radośnie Teodora. Dawno już domyślałam się tego; ale jakim sposobem dowiedziałaś się o tem?

— Odebrałam list od niego, przeczytaj, rzekła Helena zarazem dumna i zawstydzona, podając jej bilecik noszący na sobie liczne ślady łez i pocałunków.

Teodora przebiegła szybko oczyma cały bilecik, w którym po wyznaniu następowała prośba, aby jeżeli Helena podzielała jego uczucia — (a zdawał się nie wątpić o tem) pozwoliła mu widzieć się z sobą. Liczył na to że Teodora nie będzie mieć nic przeciw temu aby spotkali się u niej.

— Wszak prawda, moja dobra Teo, że mu tu przyjść pozwolisz? zawołała Helena, ale, nie trzeba nic mówić Fryderykowi. Nie dozwoliłby mi dać słowa bez zezwolenia mamy; a ponieważ mama nie cierpi Henryka, odmówiłaby mu natychmiast, nie nie pytając się o moje uczucia. Błagam cię, moja najdroższa, pozwól mi widzieć się z Henrykiem.

Mówiąc to upadła na kolana przed bratową, obejmując ją wpół.

— Uspokój się, Helenko, radość nabawia cię gorączki, bardzo przyjemnej, wiem o tem, ale która może także być szkodliwą. Powinnabym zasięgnąć rady Fryderyka, zanim pozwalam na to *rendez-vous* pod jego dacham, ale wymagałby prawdopodobnie aby Henryk oświadczył się przedewszystkiem o ciebie twej matce, a nie mam odwagi pozbawić was wszelkiej nadziei. Niech więc Henryk przyjdzie; Fryderyk dopiero po południu wróci do domu.

— Już idzie! zawołała Helena.

Teodora spojrzała przez okno. Henryk szedł prędko, i w parę minut później odezwał się dzwonek u drzwi wchodowych.

— Idź do mego pokoju, Sineto, a ja pozostanę tu na straży, rzekła śmiejąc się Teodora.

Henryk wszedł po chwili, i został powitany tak promiennym uśmiechem przez kuzynkę; że ucałował jej ręce.

— Czy widziałaś już Helenę? zapytał.

— Tak, wiem wszystko. Znajdziesz ją w moim pokoju.

Henryk korzystał natychmiast z jej pozwolenia, a Teodora stanęła przy oknie, zkąd mogłaby dostrzedz zawczasu zbliżanie się jakiegoś natrętnego gościa, równie nie pożądanego w tej chwili dla niej jak i dla zakochanych, których tak nierozważnie przyjęła pod swą opiekę.

Ogarnął ją jakiś niepokój? Czy nie zbłądziła pozwalając na to spotkanie w nieobecności męża, w tajemnicy przed nim? Niestety! nie pierwszy to już raz ukrywała coś przed nim. Wszak dla spokoju, dla uniknięcia wyrzutów, nie wahała się taić przed nim różne szkody, i czuła to milczenie, ta nieszczerość stawała jak mur jakiś pomiędzy nią i szczęściem. Fryderyk nie okazywał jej także takiej ufności jak dawniej; w całem jego zachowaniu przebijał jakiś przymus, i wzrastającą z każdym dniem oziębłość. Jakże nad tem cierpiała! Ale czy miała prawo gniewać się na niego? Wszak odbierała taką miarką jaką mierzyła. Gdzie się podziały te czasy w których nie mieli dla siebie nic skrytego?... O! mój Boże! jakże wtenczas byli szczęśliwi!.. Jak się wszystko zmieniło.

Teodora pogrążona w tem smutnem rozmyślaniu, nie przeczuwała że mąż jej pozostawał jednocześnie pod wpływem gwałtownego wzburzenia, wywołanego jakimś bilecikiem oddanym przez woźnego. Chcąc się dowiedźćć od kogo pochodził tajemniczy bilecik, wróćmy do Hansa Altman, w chwili gdy odebrał kilka wierszy skreślonych ręką bratowej.

Pani Róża była nader ciekawa dowiedzieć się kto tak rano wzywał do siebie jej męża, który nie chcąc zdradzić Teodory, a nadewszystko w chwalebnej chęci przekomarzania się z żoną, zachowywał najgłębsze milczenie, przerywane niekiedy zagadkowemi odpowiedziami lub uśmiechem dającym wiele do myślenia, a nastepnie wyszedł z rozpromienioną twarzą.

Ma się rozumieć że zaledwie drzwi zamknęły się za nim, przywiedziona do ostateczności Róża przyskoczyła do stolika, na którym nieostrożny—byłoż-to dziełem nierozwagi czy też premedytacyi?—pozostawił kopertę podejrzanego listu. Tak, przeczucie ją nie myliło; tak pismo jak wielkie T wybite na kopercie nie pozostawiało najmniejszej wątpliwości.

Od dziecinnych lat swoich, faworytka matki Róża, odwzajemniała jej się nieograniczonem zaufaniem, i teraz więc pośpieszyła powierzyć jej swe zmartwienie, a pani Gahlen nie lubiąca długo się namyślać, i nie dająca się powstrzymać takim błahostkom jak grzeczność lub jakieś tam względy które ludzie dobrze wychowani okazują sobie wzajemnie, przyrzekła jej że zajmie się zaraz wyjaśnieniem tej sprawy. Widzieliśmy w jaki sposób dotrzymała słowa.

Ale pani Róża postanowiła jeszcze wystąpić osobiście w obronie praw swoich, jako obrażona małżonka, i w tym szlachetnym celu, napisała, nie mówiąc o tem nikomu następujący bilecik:

„Strzeż się, kochany bracie, żona twoja przyjmuje w twej nieobecności czułe odwiedziny.

Róża."

Ażeby zaś ta przestroga doszła prędzej do rąk Fryderyka, posłała ją nie do mieszkania, ale do gimnazyum. Odźwierny włożył bilecik do kieszeni, zapomniał o nim w pierwszej chwili, i oddał dyrektorowi wtenczas dopiero gdy rozpoczęto egzamin. Fryderyk dręczony tak bolesnem dla niego ostrzeżeniem, udał że mu nie dobrze i musi wyjść trochę na świeże powietrze.

Teodora spostrzegła go idącego szybko do domu, zadziwiło ją to, ale nie rozmyślając nad tem co mogło być przyczyną tak przyśpieszonego powrotu, czuła się tylko obowiązaną do strzeżenia tajemnicy Henryka i Heleny, która zostałaby wyjawioną gdyby Fryderyk zastał ich razem. Prócz tego obawiała się i dla siebie gniewu męża, gdyby się dowiedział, że ułatwiła spotkanie się jego siostry z człowiekiem któremu jej matka nie przyrzekła jeszcze jej ręki. Przestraszona, zawołała wbiegając do swego pokoju:

— Uciekaj Helenko! Fryderyk wraca!

— Ale, Teo, zawołała zmieszana, to zupełnie jakbym rzuciła się dobrowolnie w paszczę wilka; on mnie nie powinien tu widzieć.

— A więc wyskocz oknem i przejdź przez ogród, rzekła śmiejąc się pomimo przestrachu.

Helena wyskoczyła lekko jak ptaszek i znikła już za drzewami, gdy Fryderyk otworzył drzwi od sieni, Henryk ścigał ją przez chwilę wzrokiem, a potem zwracając się do kuzynki:

— Dziękuję ci, droga Teodoro że pozwoliłaś na to spotkanie, rzekł całując ją w rękę nie śmiałem na to rachować, ale jak zawsze tak i teraz okazałaś się dobrą jak anioł.

— Ale gdyby Fryderyk dowiedział się o tem? rzekła niespokojnie Teodora.

— Bądź spokojna, nie domyśla się...

Przerażenie malujące się na twarzy Teodory nie

dozwoliło mu dokończyć. Mąż stanął przed nią śmiertelnie blady i z zaciśniętemi choć drżącemi ustami. Stojąc na progu, słyszał podziękowanie Henryka, widział go okrywającego pocałunkami jej ręce, nie mógł więc wątpić o swem nieszczęściu. Teodora zmieszana ubolewając nad swą nieszczerością, zdołała przecież zapanować nad sobą i zbliżając się do męża wyciągnęła do niego rękę.

— Wracasz tak wcześnie, Fryderyku, czy egzamina już ukończonę?

— Wróciłem zbyt wcześnie, jak widzę, odpowiedział drżącym i przerywanym głosem.

Następnie, zwracając się do Turnera, rzekł, wymawiając z trudnością słowa zatrzymujące mu się w gardle, nie mogące przejść przez kurczowo zaciśnięte zęby.

— Zechce pan wyjść natychmiast z mego domu, później wytłomaczę się jaśniej, w tej chwili nie mogę tego uczynić.

— Co przez to rozumiesz, Fryderyku? zapytał Henryk z gniewem.

— Bądź pan spokojnym, wytłomaczę się zrozumiale, odpowiedział marszcząc brwi Fryderyk.

Henryk chciał coś odpowiedzieć, ale powstrzymało go spojrzenie Teodory, i wyszedł wolno. Postępowanie przyjaciela było dla niego zupełnie niezrozumiałem. Cóż w tem widział tak oburzającego, że pragnie zaślubić jego siostrę? Bądź co bądź musiał być posłusznym, nie mogąc pozostać w domu Fryderyka wbrew jego woli, żałował tylko że objaśnienie przyrzeczone mu tak wyniosle, nie nastąpiło natychmiast.

Po oddaleniu się Henryka, Fryderyk uchwycił gwałtownie rękę żony.

— Czy sądzisz że nie wiem dlaczego zdawało ci się że wracam za wcześnie? zawołał chrapliwym głosem.

Teodora czując się winną pochyliła głowę w milczeniu.

— Taka to więc twoja miłość, taka prawość charakteru, mówił dalej Fryderyk. Korzystając z mej nieobecności pozwalasz na *rendez-vous*. Ty, Teodoro! ty mnie oszukujesz!..

Czekał na jakieś słówko usprawiedliwienia, któremu nie uwierzyłby jednak, bo mógłże łudzić się jeszcze po tem co słyszał i widział? Teodora nie przerywała milczenia.

— Więc nie chcesz mi nic powiedzieć rzekł w końcu i odtrącając rękę żony wybiegł z pokoju.

— Przebacz mi, Fryderyku! zawołała przerażona Teodora, wyciągając do niego ręce.

Nie odwrócił się, nie odpowiedział, wybiegł zatrzasnąwszy gwałtownie drzwi.

XIX.

Burza.

Teodora upadła na krzesło łkając głośno. Fryderyk już po raz drugi w tym dniu, mówił do niej tak surowo, obszedł się z nią prawie okrutnie. Zawiniła wprawdzie, ale czy o tyle aby zasłużyć na tak straszne wyrzuty? Byłoż to tak ciężką zbrodnią że sprzyjała uczuciom Henryka i Heleny? Choćby nawet ten związek nie podobał się jej mężowi, to czemuż okazuje swą niechęć tak gwałtownie, w sposób tak ubliżający? Zapewnie uniesienie jego było następstwem jakiejś przykrości doznanej z powodu egzaminów; dlatego też skoro wróci, przemówi do niego spokojnie, odwoła się do jego sprawiedliwości, zdrowego rozsądku, i jest pewną że ją zrozumie i usprawiedliwi. Co więcej, nigdy już nie będzie miała dla niego żadnych tajemnic, aby nie narażać się powtórnie na tak straszny gniew jego jak przed chwilą. Doprowadziłoby ją to w końcu do śmierci. Straciła już wszelką energię, gdziekolwiek się zwróci, teraźniejszość i przyszłość przedstawia jej się w posępnych barwach. W cóż się obróciły piękne sny jej młodości? Gdzie się podziały te błogie nadzieje, których ziszczenia była tak pewna? Tak, zgasły wszystkie gwiazdy na niebie; nadzieja, ufność miłość zniknęły bez śladu jak spadające gwiazdy.

Godzina upływa za godziną, egzamin musi już być skończony, bo widzi profesorów przechodzących przez ulicę, a Fryderyk nie wraca. Jakże to ciężko czekać, gdy serce bije niespokojnie, w uszach szumi, i zaledwie można podnieść nabrzmiałe od łez powieki.

Nakoniec kroki męzkie odezwały się na chodniku, Teodora wybiegła naprzeciwko Fryderyka i spostrzegła z zadziwieniem Felsing'a. W obecnem usposobieniu umysłu, nic nie mogło być nieprzyjemniejszem dla niej jak ta wizyty, dlatego też cofnęła się marszcząc brwi, że jednak nie mogła pozbyć się go grzecznie, zapytała tylko czy Fryderyk przyjdzie prędko.

— Nie sądzę, odpowiedział swym najsłodszym głosem. Pan dyrektor zdaje się jakiś nieswój, i poszedł się przejść, zapewnie dla uspokojenia nerwów. Prócz że egzamin widocznia męczył go i niepokoił, przyniesiono mu jakiś bilecik, który go rozdrażnił do najwyższego stopnia.

Ostatnim słowom towarzył ironiczny uśmiech i jakieś dziwne spojrzenie, czego jednak Teodora nie spostrzegła. Znękana, zatrwożona tak długą nieobecnością męża, opadła z głębokiem westchnieniem na poręcz swego krzesła. Felsing zbliżył się do niej i rzekł zniżonym i trochę wahającym się głosem:

— Chciałbym zadać drogiej pani pytanie, dawno już nasuwające mi się na usta.

— A więc, niech je pan zada, odpowiedziała Teodora obojętnie, myśląc jedynie o Fryderyku gniewającym się na nią i może słabym.

— Za jakież przewinienie spotkała mnie taka sroga kara, że pani nie przyjmuje już moich hołdów z tą przyjazną łaskawością jaką cieszyłem się przed tem? skarżył się Felsing. Jestto boleśniejszem dla mnie niż wyrazić zdołam, bo temu do kogo uśmiechać się raczyłaś, trudno żyć gdy został pozbawionym tego szczęścia. O! pani Teodoro, dodał zwracając na nią tak pałające spojrzenie, że przestraszona cofnęła się z krzesłem, nie domyślasz się jak cię uwielbiam, na jakie męczarnie skazujesz mnie twą obojętnością. Nigdy piękna, zachwycająca istoto...

Teodora nie dozwoliła mu dokończyć. Wstała nagle i zawołała z oburzeniem:

— Jakim prawem ośmielasz się pan odzywać się do mnie w ten sposób? Proszę zaprzestać lub też oddalić się natychmiast.

Drżała z oburzenia a czarne jej oczy błyszczały ognim; ale Felsing nie poruszył się z miejsca, a spojrzenie jego przybrało wstrętniejszy jeszcze wyraz.

— Jakże piekną jesteś w gniewie! chciałbym całą wieczność patrzeć na ciebie. Ale bądź litościwą nie żądaj abym odszedł nie uzyskawszy dowodu twej dobroci.

Mówił to pochylając się ku Teodorze ze złożonemi rękami. Ta błagająca postawa, te dzikie żądania nasunęły Teodorze myśl, że dostał obłąkania zmysłów, przestraszona do najwyższego stopnia, odskoczyła i zastawiła się fotelem. Felsing widząc to dodał już spokojniej:

— Czemu pani ucieka odemnie? czemu mam być pozbawionym łaski udzielanej innnym? Czy pani sądzi że nie roznmiem oskarżenia zawartego w tym bileciku?

Mówiąc to podał jej list Róży. Przebiegła go oczyma, Teodora wzdrygnęła się, uczuła zawrót głowy, zdało jej się że ziemia rozstępuje się pod jej nogami. Jestże to sen? Czy to co widzi i słyszy jest rzeczywistością, czy też gorączkowem marzeniem? Przyciągnęła do siebie fotel i upadła na niego, nie mogąc utrzymać się na nogach. Czy podobna aby Fryderyk uwierzył tak potwornemu oskarżeniu? Tak, uwierzył, i to tłomaczy jego uniesienie. Zrozumiała teraz że to co mówił Henryk Turner i własne jej milczenie, może służyć za potępiające dowody.

Wszystkie te myśli przesuwają się w jej głowie z szybkością błyskawicy. Zapomniała o Felsing'u i wyrządzonej przez niego zniewadze, ale Felsing nie chciałbyć zapomnianym, i znów się odezwał:

— Niech się pani uspokoi, rzekł z uśmiechem; to ja znalazłem ten bilecik i nikt go, prócz mnie nie czytał; może więc pani być pewną że nie wspomnę o tem nikomu, jeźli pani nie okaże się dla mnie zbyt surową. Byłoby to dowodem wielkiej nierozwagi odtrącać mnie przy takim zbiegu okoliczności. Jesteś pani osobą bystrą i rozgarniętą, a więc mnie zrozumiesz. Położenie twego męża, bardzo zachwiane już od kilku miesięcy, nie polepszyło się bynajmniej obecnie po egzaminie, przeciwnie, grozi mu dymisya, jeźli nie znajdzie gorliwego obrońcy. Tym obrońcą ja mogę zostać, dzięki memu wpływowi na pana Martiu, jakkolwiek zapewniam panią że będzie to dość trudne zadanie, bo pięknej pani Gahlen zarzucają w mieście wiele rzeczy które i na jej męża ściągają naganę. Ma się rozumieć że każda praca powinna być wynagrodzoną, jeźli więc dzięki moim gorliwym usiłowaniom potrafię utrzymać męża pani na zajmowanej przez niego posadzie nie potrzebuję mówić jakiego wynagrodzenia będę żądał od pani. Wszakże bilet ten dowodzi że nie wymagam niepodobnych rzeczy.

Wielkość zniewagi przywróciła Teodorze energię i siły, powstała znów i zbliżając się do drzwi z pogardliwą obojętnością, otworzyła je mówiąc:

— Proszę wyjść!

Ruch jej ręki był tak rozkazujący, głos tak stanowczy i dumny, że nędznik nie śmiał opierać się dłużej.

— Jak się pani podoba, rzekł z szyderskim śmiechem, ale proszę się nie dziwić jeźli kamień zawieszony nad jej głową przygniecie panią spadając. Toczy się po stromej pochyłości, i nikt go już nie powstrzyma, pani tylko mogła to uczynić z łatwością!

Nie odebrał wcale odpowiedzi, jakby go nie słyszała, wyszedł i Teodora zamknęła drzwi natychmiast. Była to ciężka chwila dla biednej kobiety; strącono ją więc tak nizko że ten nikczemnik sądzi że ma prawo proponować jej tak niecne; oburzające układy, nie wątpiąc że mu się powiedzie?.. Mówił coś także o tem iż Fryderyk straci przez nią posadę, że jest uważaną za kokietkę, wytykaną palcem w miasteczku, i nie pierwszy to już raz mąż jej odbiera ostrzeżenie tak pełne miłosierdzia chrześcijańskiego. To jej tłomaczyło nagłe zjawienie się u niej pani Gahlen, jak niemniej straszny gniew Fryderyka gdy ją zastał samą z Henrykiem Turner.

Wsparła na szybie rozpalone czoło, tak zrozpaczona że nie była zdolną rozmyślić się i zastanowić nad tem co ma czynić dalej. Jedna tylko myśl wynurza się uporczywie z chaosu panującego w jej głowie: powinna z tąd wyjechać, tak wyjechać, nie zo-

baczyć już nigdy ludzi tak okrutnych i niesprawiedliwych.

Usiadła przy biurku i napisała do Fryderyka list z pożegnaniem. Prosiła aby jej przebaczył jeżli nie mogła go uszczęśliwić, i oświadczyła że nie ma siły walczyć dłużej z nieprzyjaznemi uczuciami otaczających ją osób. Lepiej dla nich obojga aby wróciła do matki, skoro swą obecnością sprawia mu przykrość, i ściąga na niego rozliczne zmartwienia, jakkolwiek nie ma ani cienia prawdy w nikczemnych potwarzach rzucanych na nią. Odjeżdża ale pozostanie mu zawsze wierną i zawsze kochać go będzie.

Podpisała i zapieczętowała list śpiesznie, położyła go na biurku męża, potem obawiając się aby nie nadszedł, zajęła się przygotowaniami do podróży, już jej nie zobaczy... na cóżby się to zdało? Czem więcej nad tem myśli, tem silniejszego nabiera przekonania że powinni się rozstać. Napełniła torbę podróżną z tak gorączkowym pośpiechem, jakby jedną minutę opóźnienia miała przypłacić życiem, a następnie wybiegła zrozpaczona z tego domu do którego tak niedawno weszła z radością, z sercem przepełnionem błogą nadzieją szczęśliwej przyszłości.

XX.

Chmury się rozchodzą.

Gdy Fryderyk wyszedł na ulicę po burzliwem spotkaniu się z żoną, gniew, żal, rozpacz tak szarpały jego sercem, że nie mógł zebrać myśli. Był zawsze zazdrośnym, leżało to już w jego charakterze, ale rozum, serce, dowody czerpane z ich wspólnego pożycia, upewniały go o szczerej miłości żony, tak że w końcu wstydził się swej podejrzliwości. I teraz właśnie gdy jej tak ufał, był tak spokojnym, ona go zdradziła!.. Co się teraz z nim stanie? Czem dla niego będzie życie bez Teodory?.. Prócz tego nasuwała mu się ciągle myśl dręcząca go ciężej nad wszelkie inne: „Nie umiałem jej kochać, nie umiałem jej zrozumieć, i uszczęśliwić, zasłużyłem na to aby ją stracić.” Tak, to było powodem jego nieszczęścia. Ileż to razy był dla niej niesprawiedliwym, czynił jej ostre wyrzuty o lada drobnostkę, wyszydzał jej upodobania, aż w końcu straciła do niego ufność zamknęła przed nim serce...

Droga z domu do gimnazyum, była dla niego drogą cierniową, na której jego dusza przechodziła najstraszniejsze męczarnie, a jednak musiał się otrząsnąć z dręczących go myśli, bo egzamina ciągnęły się dalej i wymagały jego obecności. Ale pomimo wysiłku woli, nie mógł słuchać ich uważnie, był widocznie roztargnionym, co wywarło niekorzystne wrażenie na obecnych. Jednak w tem jego niezwykłem zachowaniu się, widziano tylko niespokojność wywołaną wskazaniem mu pewnych błędów w kierunku naukowym, i jeden z członków zarządu ulitowawszy się nad nim, rzekł z wyrazem współczucia:

— Widzę że jesteś cierpiącym, kochany dyrektorze, wróć do domu a my cię tu zastąpimy; zresztą egzamin skończy się niedługo, możesz oddalić się spokojnie.

Fryderyk przyznał że jest w istocie bardzo cierpiący, podziękował zwierzchnikowi za ten dowód jego względności i wyszedł. Siedzący niedaleko Felsing rzekł z politowaniem:

— Biedny człowiek, nie stworzony do swej posady, czy też posada nie stworzona dla niego, co na jedno wyjdzie. Tak się obawiał tego egzaminu, że ta niespokojność doprowadziła go do choroby.

— Zdaje się rzekł jeden z członków konsystorza zniżonym głosem, że Gahlen nie posiada zdolności niezbędnych dla dyrektora gimnazyum, i że popełniliśmy błąd powierzając tę posadę człowiekowi tak młodemu.

— Wszystko przemawiało za Gahlen'em, odpowiedział członek zarządu; mówiono o nim powszechnie jako o człowieku przynoszącym zaszczyt krajowi, ale zdaje się w istocie że pomyliliśmy się w wyborze.

Fryderyk sądząc że ból rozsadzający mu prawie głowę uspokoi się trochę na świeżem powietrzu, wyszedł za miasto, gdzie jak sądził łatwiej mu będzie ukoić rozszalałe myśli. Omylił się jednak, snuły się ciągle po zbolałej jego głowie, gorzkie, rozpaczliwe, i wracał do siebie złamany fizycznie i moralnie. Gdy doszedł do swego domku, tak ponętnie przedstawiającego się w swych zielonych ramach, zatrzymał się i przycisnął dłoń do czoła. Z jakimże radosnem upojeniem, wprowadził swą młodę żonę pod ten dach, który miał być grobem jego szczęścia i miłości.

— Wszystko skończone, a ja tak ją kochałem tak ją kocham jeszcze!..

Poszedł dalej, zadając sobie, z gwałtownem biciem serca, pytanie, czy zobaczy Teodorę siedzącą na swem miejscu przy oknie, i co ona mu powie. W mieszkaniu było cicho jak w grobie, młoda jego pani nie znajdowała się ani w saloniku, ani w pokoju sypialnym. Czekał kilka minut chodząc niecierpliwie po pokoju: nikt się nie pokazał. A jednak musi gdzieś być blizko, fortepian otwarty, książka na jej stoliku rozłożona, jakby ją czytała przed chwilą. Na krzesełku leży różowa jedwabna chusteczka, którą Teodora tak lubiła: wziął ją, złożył starannie, prawie z czułością, jakby widział w niej cząsteczkę tej która ją nosiła, poniósł ją do ust, a potem nagle odrzucił ze wstrętem: może miała ją na szyi gdy Henryk był przy niej... Nie, nie chce już o tem myśleć, na samo wspomnienie krew zaczyna wrzeć w jego żyłach... A Henryk? przyrzekł mu że się wytłomaczy jasno, i dotrzyma słowa, ale musi przedtem rozmówić się z żoną.

— Panie dyrektorze, nie mogę ugotować kolacyi bo pani wyszła i nie wydała mi nic ze spiżarni, odezwał się głos Lizety za drzwiami.

— Wyszła! O tej porze! Gdzie? zawołał otwierając nagle drzwi zdziwionej tą jego żywością służącej.

— Pani nie wspominała nic gdzie idzie, a wyszła zaraz po odejściu pana Felsing, odpowiedziała Lizeta i oddaliła się prędko, gdyż ponura twarz pana nie zachęcała jej do dłuższej rozmowy.

— Felsing? Po co on tu przyszedł? Może chciał mnie uwiadomić o zakończeniu egzaminu. Ale czemu Teodora wyszła w tenczas właśnie gdy mogła się spodziewać że wrócę niedługo? Zapewnie bała się mego gniewu lecz gdzieżby poszła?

Zaczął znów chodzić po pokoju, jak lew w klatce, ale duszno mu było w tym pustym domu; wziął kapelusz i sam nie wiedząc o tem skierował kroki do domu matki. Nie życzył sobie wejść do niego, w tej chwili nawet widok przyjaznej twarzy, byłby dla niego nieznośnym, ale Altman stał w oknie i zawołał na niego Fryderyk jakkolwiek nieusposobiony do rozmowy, musiał wejść do niego aby mu podziękować za pożyczenie kamizelki.

Zadrżał na samą myśl że spotka się tam z Różą. Jakim sposobem dowiedziała się o uczuciach Teodory i Henryka, oraz umówionem między niemi spotkaniu? Czy niesława jego była już tak głośną, a wizyty Turnera wczasie jego nieobecności stały się już przedmiotem szyderstwa sąsiadów, gdy on, zaślepiony i głuchy; nie starał się zapobiedz temu?

Gdy Altman przywołany do swych obowiązków przez surową świekrę wrócił do apteki, znalazł w niej małego ucznia spoglądającego rozpaczliwym wzrokiem na recepty które jak na złość przynoszono co chwila, gdy on sam tylko był w aptece. Tylu już było czekających na lekarstwa, że Altman nie miał czasu pocieszyć swej biednej małżonki, pomimo że kilka razy przysyłała po niego, a nawet zeszła sama i przywoływała do siebie stojąc na progu apteki.

Nieszczęściem, zastała w aptece tylu klientów, że Hans nie mógł oddalić się ani na chwilę, i musiała wrócić do siebie nie zamieniwszy z nim ani słowa. Dodajmy że Hansa bawiła bardzo ta niecierpliwość i zazdrość żony, i że nie wahał się umacniać jej podejrzeń udając że się obawia z nią mówić i odpowiadać na pytania które mu zada niewątpliwie. Była to według niego aż nazbyt łagodna kara za to, że w pogoń za nim posłała mamę Gahlen. Gdy nadeszła pora obiadu, kazał ją prosić aby nie czekała na niego, ponieważ tak wiele recept przynoszą dziś do apteki, jakby połowa ludności w M... była blizką śmierci.

Nakoniec ku wieczorowi, winny wszedł do swego mieszkania z miną niewinnego baranka, był nawet o tyle zuchwałym że poklepał lekko po buzi swą córeczkę Jagusię, mówiąc:

— Czy zjadłaś wszystko, pieścioszko? Co do mnie jestem tak głodny że gotówbym połknąć was wszystkie razem. No, nie lękaj się, moja Różyczko, nie zróbię tego, pocałuję cię tylko rzekł zbliżając się do żony, która odskoczyła od niego, zaczerwieniona z gniewu.

Wyprowadziła z pokoju córeczkę, zamknęła drzwi i wtenczas dopiero odezwała się do męża:

— Nie potrzebuję pocałunków takiego bałamuta! Piękne postępowanie dla człowieka ożenionego, kiedy od samego rana trzeba go szukać u pięknych pań, pisujących do niego czułe bileciki, i częstujących winem i ciastkami!

— Mylisz się, moje serce, nie było ciastek, tylko masło, chleb i ser. Wyborny chester! Powinnabyś posłać po niego do Wunderlich'a, zanim rozprzeda transport. Nie pojmuję czemu dajesz zawsze pierwszeństwo Bauman'owi....

— Dajże pokój z tem serem! idzie tu o coś ważniejszego. Co powie moja matka, co będą mówić w całem mieście o twojem postępowaniu? Jaki przykład będziesz dawał dzieciom, jeżli się nie ustatkujesz? Coja sama mogę myśléć o mężu, przeniewierzającym mi się prawie otwarcie?

Gdy to Róża mówiła, Hans wyjął z kieszeni książeczkę notatkową i zaczął pisać coś prędko.

— Jak możesz pisać gdy zwracam twą uwagę na tak ważne rzeczy? zawołała Róża przywiedziona do ostateczności. Nic cię już nie obchodzi ani mój smutek ani twoja dobra sława.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 34.

(Dalszy ciąg.)

N. 4. Kapelusik z rozetami z pukielków.

Fasonik z florenckiej słomki, z płaskiem rondkiem podszytem marszczonym atłasem, przybrany jest dwo-



N. 3. Kapelusz ubrany wstążką i piórami, dla dziewczynki.

ma rozetami z niebieskiej aksamitki 2 cent. szerokiej i piórkiem strusiem.

N. 5—6. Kołnierzyk stojący (col militaire) zdobny aplikacyą.

Aplikacya i gałązka kwiatów, zdobiąca aksamitny stojący kołnierzyk, naśladuje prawdziwą koronkę i może służyć do ozdoby żabotów, krawatek i t. p. Haft odrobiony jest na cienkim, klarownym muślinie z podłożeniem dubeltowego tiulu; kontury dane ściegiem sznureczkowym który zajmować trzeba bardzo ściśle i drobno. Ryc. 6 daje w naturalnej wielkości wykończoną gałązkę; spodni rząd listków w kwiatki ro-



N. 8. Suknia z długim paletocikowym stanikiem. Patrz ryc 11 w N-rze 33.



N. 1—2. Kołnierze i dwa sposoby czesania dla dzieci.
N. 1. Kołnierzyk marynarski. N. 2. Kołnierzyk podwójny.



N. 5. Kołnierzyk stojący z aplikacyą koronkową haftowaną. Patrz ryc. 6.



N. 6. Gałązka koronkowa; naśladowanie prawdziwej „points" do ryc. 5.

dy przewleczone są aksamitką, związaną z przodu w kokardy. Paletocikowy stanik również składany w kontrafałdy, przewleczony aksamitką na wcięciu stanu. Ryc. 8 przedstawia stanik wcięty do figury, odpowiedni jako ubranie domowe lub spacerowe dla młodej panienki. Wszywka koronkowa zastąpiona jest 4 cent. szerokiemi pasami haftu; zwracamy



N. 7. Serwetka. Haft z aplikacyą. Patrz r. 8 w N-rze 33.

biony na tle wraz z gałązką, dwa zwierzchnie rzędy wykończają się oddzielnie i naszywają na środku kwiatka.

N. 7. Serwetka. Haft na podłożeniu. Patrz ryc. 8 w N-rze 33.

Ryc. 7 wskazuje serwetkę aksamitną, ozdobioną haftem na podłożeniu, odrobionym podług ryc. 8 w N. 33. Deseń i wyszycie naśladowane podług starożytnego wzoru



N. 4. Kapelusz dla małej dziewczynki, ubrany piórami i rozetami ze wstążki.

serwetki atłasowej, jasno zielonej z podłożeniem pod haft brokatelli złotej, przerabianej z kolorowym jedwabiem. Kontury obwiedzione podwójną złotą nitką, przytrzymaną poprzecznemi ściegami z żółtego jedwabiu. Brzegi serwetki podszytej jedwabną podszewką otacza koronka złota. Równie efektownie przedstawiać się będzie robota jeżeli zamiast brokatelli przerabianej złotem, jakiej nie ma w naszych sklepach, użyjemy dobrze dobranych materyi lub atłasu.

N. 8. Suknia z długim stanikiem. Patrz r. 11 w N. 33.

Rycina 11 w N. 33 przedstawia strojne negliżowe ubranie z kolorowego batystu, zdobne koronką 8 c. szeroką, wszywką 5 c. szeroką i kolorową aksamitką. Dwa szerokie wolanty przykrywające spódnicę, ułożone w kontrafał-

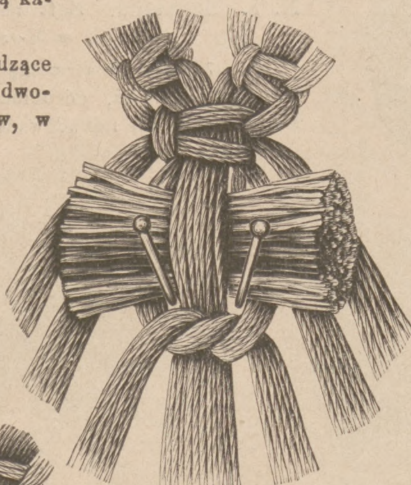


N. 9. Stanik z kamizelką marszczoną.

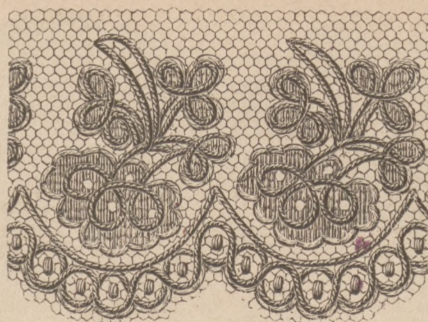
uwagę na zręcznie fałdujące się karoczko, na które krając plecy naddaje się po 27 c. wzdłuż przy każdej połowie pleców, szerokość dolna wynosi po 30 cent. Kokarda z szerokiej wstążki.

N. 9. Stanik z marszczoną kamizelką.

Przody stanika rozchodzące się szeroko, przytrzymane dwoma rzędami dużych guzików, w górze przysłonięte ranwersami, dopełnione są kamizelką przemarszczoną pod szyją w podwójny stojący nagłówek, a u dołu lekko opuszczoną w bufkę. Zapięcie dane z boku na kryte haftki; na baskinie z boków naszyte kieszonki. Spódnica zakończona plisowaniem, przysłonięta tuniką z przodu spuszczoną fartuszkowo, z tyłu bardzo suto podpiętą. Kostjum ten był z blado niebieskiego voille z ciemnym aksamitem. Na głowie kapotka z materyi surah, ogarnirowana żółtawą koronką.



N. 15. Założenie i pierwsze przewiązanie pomponu. Do ryc. 14.

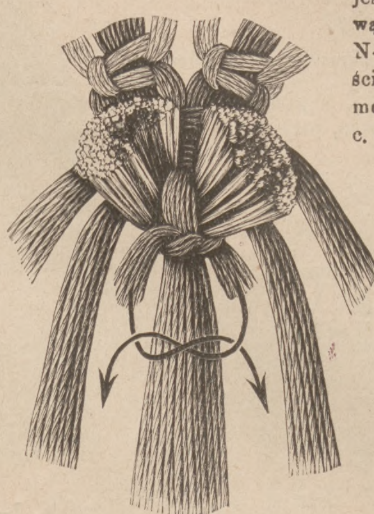


N. 10. Koronka obwodzona nitką złotą.

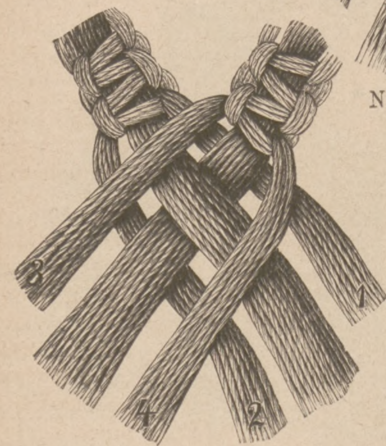


N. 11—12. Sukieneczki dla dzieci.

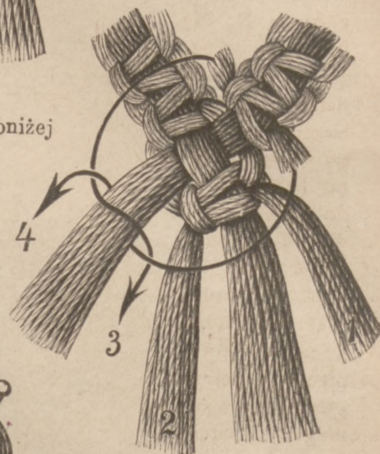
N. 11. Sukienka z kokardami. N. 12. Sukieneczka z haftem.



N. 16. Zawiązanie węzła poniżej pomponu do ryc. 14.



N. 19. Przeplatanie promieni na krzyżowaną kratkę do ryc. 14.



N. 20. Zkrzyżowanie podwójnego węzła, do ryc. 14.

N. 17. Przewiązanie węzłem pojedyńczych promieni na pompon do ryc. 14.

N. 13. Serwetka wyszyta na płótnie. Patrz ryc. 17 i 18 w N-rze 33.

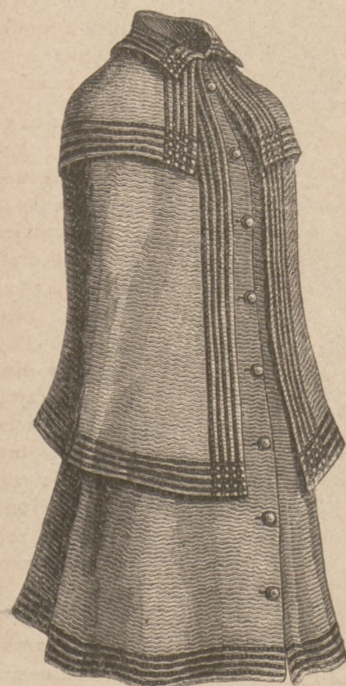
N. 18. Wiązanie pikotów do ryc. 14.

N. 11. Sukieneczka z kokardami.

Uszyta z ciemno ponsowego zefiru, ma staniczek 26 cent. długi, cały zaszyty w drobne zakładki; odpowiednio do tego spódniczka 17 cent. długa, ozdobiona jest pięcioma zakładkami. Brzeg stanika, wykładu pod szyją i rękawków, oszyty żółtawym hafcikiem. Zamiast paska przewiązana wstążka atłasowa ponsowa i żółtawa, z których ułożone są także kokardy.

N. 12. Sukieneczka z falbankami haftowanemi.

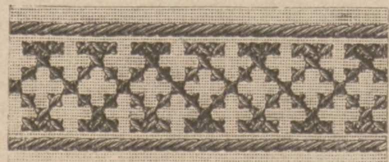
Przody sukieneczki z niebieskiego zefiru zaszyte są w drobne zakładki w odstępach 5 cent. przedzielane wszywką haftowaną 3 cent. szeroką; boczki całe są z zakładek, a plecy ozdobione podług ryc. 12 gładko naszytą langetką zwróconą brzegami do siebie. U dołu falbanki oszyte langetką.



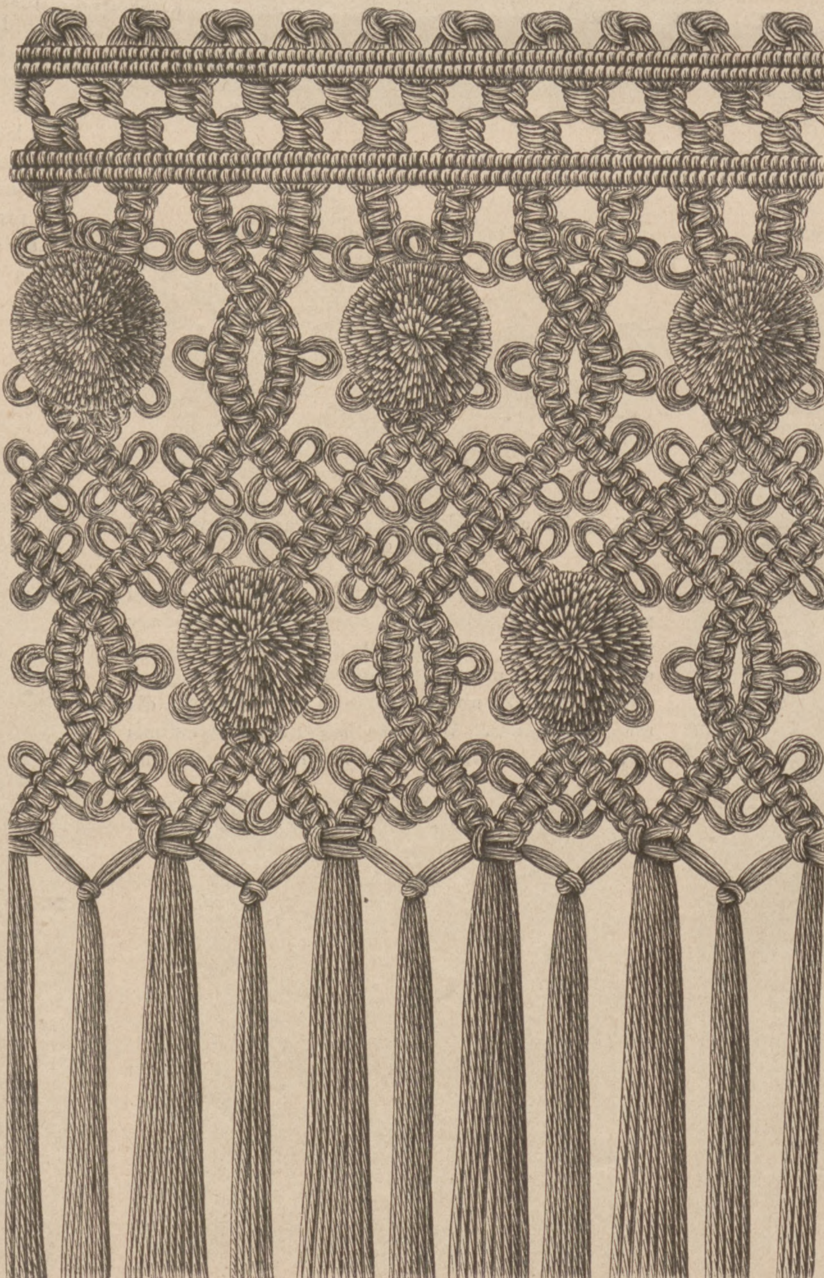
N. 21. Płaszczyk z podwójną peleryną. Patrz ryc. 22.



N. 22. Plecy do ryc. 21.



N. 25. Szlaczek krzyżykowy.



N. 14. Frendzla z pomponami. Robota wiązana. Patrz ryc. 15—20.

N. 13. Serwetka ze szlakiem i frendzlą. Patrz ryc. 17 i 18 w N-rze 33.

Płócienne tło serwetki liczy w kwadrat 60 cent. i ozdobione jest szlakiem wyszytym kolorową bawełną, podług ryc. 18 w N-rze 33, kilkoma rodzajami ściegu, które wszędzie zmienić można na krzyżyki. Frendzla 8 c. szeroka, wysiepana z materyału tła składa się ze skręcanych promieni, liczących po 10 nitek, przewijanych z czterema dodanemi kolorowemi nitkami; sposób skręcania frendzli wskazaliśmy na r. 17 w N. 33. Każdy promień rozdziela się na dwie części po pięć nitek, skręca każdą połowę oddzielnie, następnie obie razem związuje węzełek u dołu a co drugi promień dodaje nitki kolorowe.

N. 14—20. Frendzla z pomponami. Robota wiązana.

Odrobiona z francuzkiego kolorowego jedwabiu, wiąże się z promieni liczących po ośm nitek, z których dwie są ciemno ponsowe, 1 żółta 1 oliwkowa, a 4 żółtawo-różowe. Do serwet, koszyczków przy stoliczkach pokrytych materyą frendzla może być z kordonku w jednym kolorze lub z bawełny; na pompony bierze się filozela, włóczka angielska lub crevel. Nie podajemy szczegółowego opisu, bo ten niczego nie nauczy osób niewprawnych w tego rodzaju robotę, dla czytelniczek, które uczyły się roboty wiązanej, wystarczą ryciny objaśniające każde wiązanie węzłów.

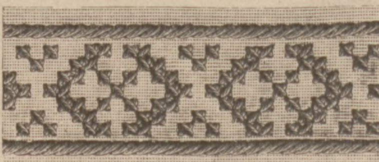
N. 23. Okrycie z peleryną. Patrz ryc. 24.



N. 24. Przód do ryc. 23.

N. 21—22. Płaszczyk z podwójną peleryną.

Prosta dogodna forma



N. 26. Szlaczek krzyżykowy.

płaszczyka przedstawionego na r. 21—22, odpowiednia jest zarówno do skromnego lub strojnego przyozdobienia, do taniego lub droższego materyału, gładkiego czy deseniowego. Krój dopasować można podług załączonego na dużym arkuszu z krojami do N. 18 i 19 (patrz r. 45 w N. 19, a kroju N. X, figura 56—59). Model, jaki dziś daliśmy, jest z ciemno zielonego szewjotu i liczy przy 184 c. dolnego obwodu, 96 c. długości z tyłu, 96 cent. z przodu. Płaszczyk złożony z przodów i pleców, dopełnia peleryna 64 c. długa, 120 dolnego obwodu mająca, mniej lub więcej zaszyta na ramionach, przyszyta wzdłuż tylnych brzegów do pleców, w odstępie 5 cent. od szwu środkowego, niedoszywając na 20 cent. do dołu. Zwierzchnia mniejsza pelerynka nie rozcięta z tyłu, liczy 100 c. obwodu a tylko 20 cent. długości i również zaszywa się podług figury na ramionach. Górny brzeg obydwóch pelerynek wszyty w pasek wraz z wykrojem szyi płaszczyka; pasek ten przysłonięty wykładanym kołnierzykiem. Jedyne przyozdobienie stanowi pletnia wełniana 1 cent. szeroka.

N. 23—24. Okrycie z peleryną.

Dopasować je można podług formy danej w N-rze 31 przy ryc. 25—26; za materyał służy ottoman de laine, przybranie zaś stanowi wstążka gazowa naszyta perłami i sznelką, 7 c. szeroką, 11 c. szeroka koronka i 8 cent szeroka, gruba jedwabna wstążka. Fałdowane karoczko tylne, 23 cent. długie, kraje się w dalszym ciągu od przodów 70 c. długich; całkowita szerokość dolna wynosi 195 c. obwodu, lecz po złożeniu karoczka w potrójną kontrafałdę zmniejsza się do 130 centym. Peleryna 48 c. długa zaszyta na ramionach podług figury z przodu ścięta jest szpiczasto. Na podszewkę użyta miękka materya jedwabna.

N. 28. Kapotka z chusteczki koronkowej.

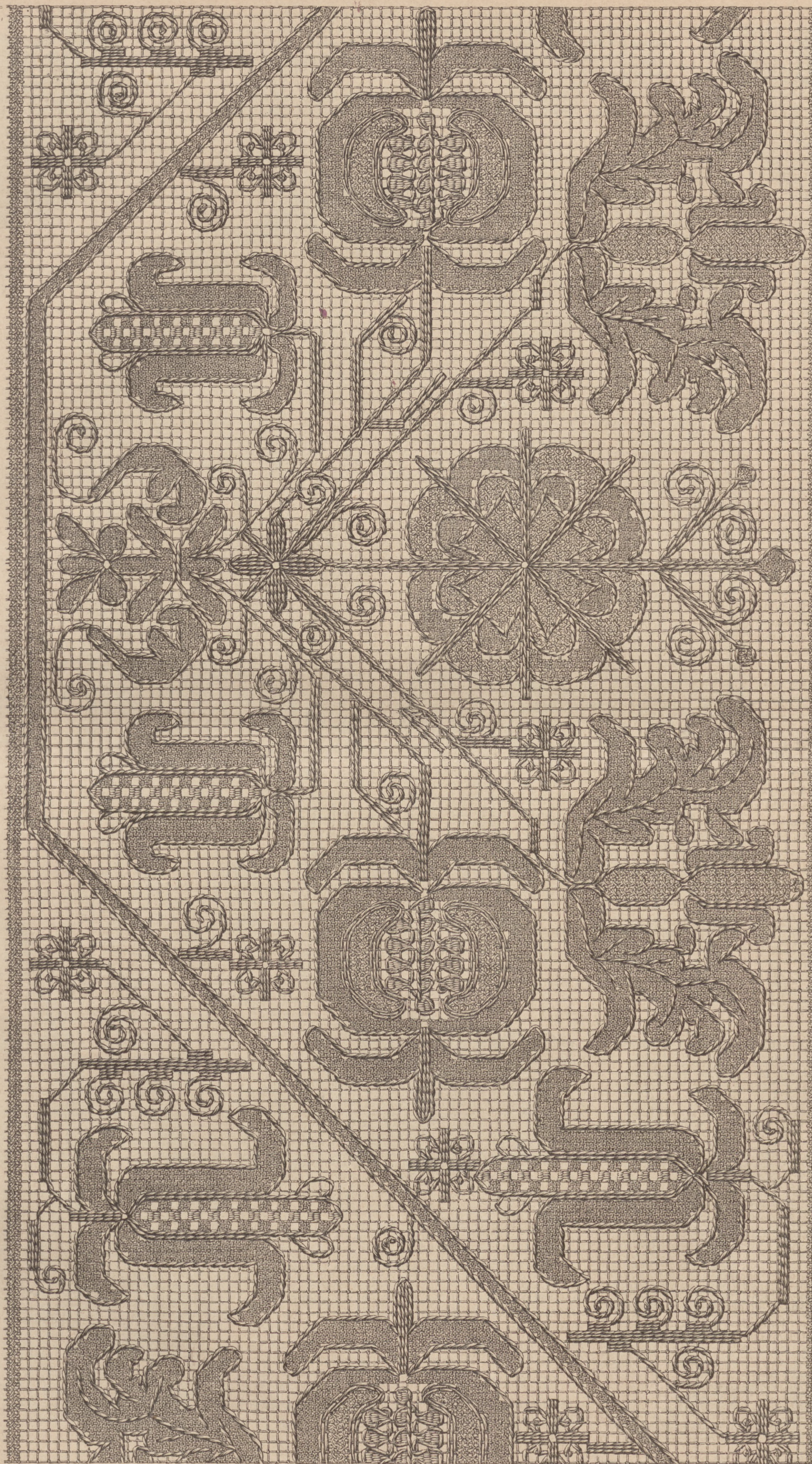
Fasonik pokryty bufowanym bronzowym tiulem, przysłonięty jest z wierzchu trójkątną chusteczką z hiszpańskiej koronki koloru crême. Końce chusteczki lekko zmarszczone, schodzą się z tyłu główki z zaokrąglonym środkowym rogiem chusteczki i przypięte są szpilką z główką agatową, poczem zwrócone są do przodu i przewiązane pod szyją. Z boku przypięty bukiet z wielkich, cieniowanych liści begonii.

N. 29. Kapelusz z róndkiem podpiętem bratkami.

Fasonik ze słomki koloru poziomkowego, ma rondko wysoko podniesione nad czołem, podpięte od środka rzędem aksamitnych bratków, danych jeden przy drugim. Zwierzchnie przybranie stanowią pukle aksamitne i wstążka repsowa poziomkowego koloru, 3 c. szeroka, z ciemnemi brzeżkami aksamitnemi.

N. 30. Sukieneczka dla małej dziewczynki.

Kwadratowy wykrój szyi w sukience z deseniowego kretonu przysłonięty jest kołnierzykiem chusteczkowym, z dwóch rzędów suto namarszczonej koronki, związa-



N. 27. Szlak z siatki gipiurowej, do ryc. 12 w N-rze 33.

upięty podług r. 5. Bluzka marszczona na gładko dopasowanej podszewce, zapięta z przodu na kryte haftki. Stojący kołnierzyk, mankiety, pasek i kokarda z czarnego aksamitu, suknia zaś uszyta z materyału popielatego w kratkę. Kapelusz z popielatej słomki; popielate duńskie rękawiczki. Na ryc. 5 także suknia z niebieskiego kretonu, przybrana granatowym aksamitem.

N. 33—34. Koszyczek do robót przykryty serwetką.

Pleciony jest z bronzowej trzcinki i liczy 44 cent. długości, 28 szerokości a 19 wy-



N. 28. Kapotka z chusteczki koronkowej.

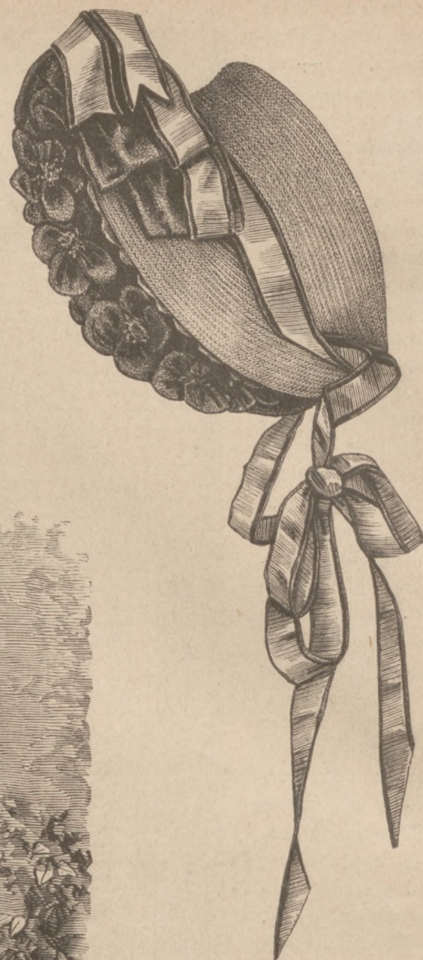
nym długiemi tiulowemi końcami zkrzyżowanemi z przodu i przeprowadzonemi do tyłu nakształt szarfy. Sukieneczka kraje się bardzo szeroka i przymarszcza podług r. 30 do gładkiej podszewki. Kapotka marszczona z tego co suknia kretonu, ogarnirowana koronką.

N. 32. Sukienka z bluzką dla młodej panienki. Patrz ryc. 5 w N-rze 33.

Na gładkiej spódniczce naszytej tylko u dołu aksamitką 6 c. szeroką włożona tunika z jednego boku wysoko podniesiona i założona w kontra fałdę, z drugiej strony spadająca fałdzisto; bryt tylny



N. 30. Sukieneczka wycięta. N. 31. Suknia z vetement. Patrz ryc. 46 w N-rze 34. N. 32. Sukienka z bluzką. Patrz ryc. 5 w N-rze 33.



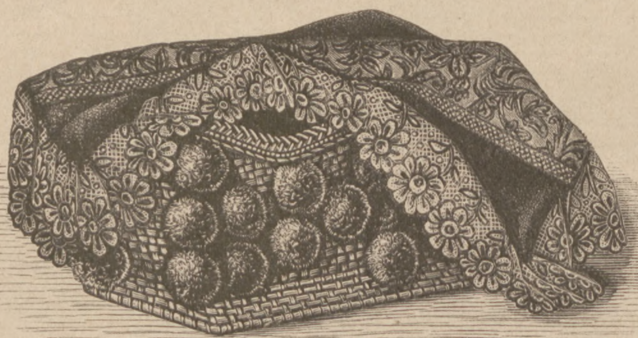
N. 29. Kapotka z rondkiem podpiętem bratkami.

ny kołnierz marszczony, mankiety i falbana na plisowanej spódniczce. Szarfa kaszmirowa 205 cent. długa, 24 szeroka zakończona frendzlą 13 cent. szeroką, opasuje sukienkę a z boków przytrzymana jest patkami.

(*D n*).



N. 35. Sukieneczka Jersey z szarfą. N. 36. Ubranie dla chłopczyka.



N. 33—34. Koszyczek do robót z przykryciem haftowanem.

sokości i z zewnątrz ozdobiony jest kolorowemi pomponami. Ozdobne przykrycie stanowi serwetka 57 cent. długa, 41 szeroka, złożona z szerokiego pasa materyi adamaszkowej vieil-or wyszytej jedwabiem w dwóch cieniach vieil-or; z boków dodane pasy ponsowe pluszowe po 10 cent. szerokie. Oszycie brzegów dane z koronki hiszpańskiej 9 cent. szerokiej, koloru vieil-or, wyszytej kolorowym jedwabiem. Podszewkę stanowi ponsowy fular.

N. 35. Sukieneczka Jersey z szarfą, dla dziewczynki.

Sukienka Jersey koloru czerwono-bronzowego, ozdobiona żółtawym haftem 17 cent. szerokim, z którego da-



N. 37. Sukieneczka paletocikowa dla dziewczynki. N. 38. Sukienka princesse.